

**Ks. Czesław Kunda scj**

**DNI PRZEŚLADOWAŃ**

**Kuria Prowincjalna Księży Sercanów  
Kraków 1992**



## LIKWIDACJA DOMU KSIĘŻY SERCANÓW W STADNIKACH W ROKU 1954

### Wstęp

W celu utrwalenia niektórych faktów związanych z wielkim, a zarazem tragicznym dla nas wydarzeniem, jakim była likwidacja wspólnoty sercańskiej w Stadnikach za czasów stalinowskich, postanowiłem zebrać to, co zaczyna się zacierać w pamięci. Dużą pomocą w niektórych szczegółach była Kronika Parafialna stadnicka oraz trzykartkowy maszynopis utrwalonych przeżyć kleryków sercańskich z Tarnowa, spisany niemal bezpośrednio po interesujących nas tutaj wydarzeniach, bo już pod datą 4 sierpnia 1954. Maszynopis ten znajduje się w Archiwum Prowincjalnym naszego Zgromadzenia w Krakowie. Wszystkie dane natomiast, dotyczące Sióstr Służebniczek podaję prawie dosłownie z pisemnego sprawozdania, jakie przesała mi z Opolą S. M. Korsynia Gall, która przez cały czas pobytu Sióstr w Stadnikach była ich ekonomką (zaopatrzeniową),

### Nota historyczna

Zgromadzenie nasze obecne na terenie Polski zaledwie od 1928 r., z wybuchem II wojny światowej dysponowało niewielką ilością członków, zgrupowanych zasadniczo w dwóch ośrodkach, jakimi były dom macierzysty w Krakowie-Płaszowie (przy ul. Saskiej) oraz dom nowicjacki w Felsztynie, w diecezji przemy-

skiej (dziś miejscowość ta znajduje się poza obecną wschodnią granicą Rzeczypospolitej). Mimo sporych trudności personalnych pierwsi nasi księża zdecydowali się na otwarcie, jeszcze przed wojną, małego seminarium, na które został przeznaczony pierwszy dom w Polsce, tj. dom w Krakowie-Płaszowie. Podjęta w nim naukę na poziomie szkoły średniej spora grupa młodzieńców z wielu regionów Polski, a pierwsi jego absolwenci odbywali już nawet swój nowicjat w Felsztynie. Tragiczne wypadki wrześnieowe roku 1939 związane z najazdem niemieckim z jednej, a inwazją sowiecką z drugiej strony, boleśnie dotknęły także i nasze młode wspólnoty: nowicjusze z Felsztyna po długich tygodniach tułaczki znaleźli się w końcu na ziemi włoskiej, a uczniowie małego seminarium w Krakowie, spędzający właśnie swe wakacje w domach rodzinnych, tylko w niewielkiej ilości zdecydowali się na przyjazd do Krakowa, by dosłownie pod nosem okupujących dom płaszowski Niemców brać udział w tajnych kursach przygotowawczych do matury. Siedmiu spośród tej grupy tajnego nauczania (dołączył do nich jeszcze jeden kandydat spoza małego seminarium — przyszły Ks. Stawczykowski) po złożeniu egzaminu dojrzałości, rozpoczęło w marcu 1944 r., w tymże samym domu w Krakowie, w dużej części zajmowanym przez wysiedleńców z Kalisza oraz przez wojska niemieckie, kanoniczny nowicjat pod kierunkiem ks. Władysława Majki.

Jest rzeczą oczywistą, że sytuacja taka nie sprzyjała atmosferze właściwej nowicjatowi i na dłuższą metę była nie do przyjęcia. Wprawdzie Niemcy byli już w pełnym odwrocie i wszystko wskazywało na to, że dom płaszowski będzie od nich uwolniony, ale mimo to należało szukać jakiegoś rozwiązania. Możliwości zaś w tym tragicznym okresie końcówki wojny nie było wiele. Wybór padł więc na rodzinny dom jednego z członków Zgromadzenia, mianowicie na stary dworek państwa Michalików w Stadnikach, którzy tymczasowo ofiarowali go na ten zbożny cel.

Tak więc 22 maja 1944 r., w atmosferze nadziei, jaką budził odwrót Niemców ze wschodu, wspomniana grupka ośmiu nowicjuszy została, wraz ze swoim magistrem, przewieziona do Stadnik, by dać w ten niecodzienny sposób początek istnieniu sercańskiej wspólnoty na nowym miejscu. Tu w styczniu 1945 r. przeżyli front niemiecko-rosyjski i tu w dniu 21 marca tegoż roku złożyli pierwszą profesję.

Rychło po zakończeniu działań wojennych okazało się pilną potrzebą chwili podjąć starania o wybudowanie nowej siedziby nowicjatu, a równocześnie o poszerzenie wreszcie uwolnionego domu płaszowskiego. Obydwoma tymi przedsięwzięciami kierował niez mordowany Ks. Michał Wietecha, który w styczniu 1947 r. został mianowany pierwszym prowincjałem polskiej prowincji SCJ. Gdy idzie o nowicjat zdecydowano wybudować go w Stadnikach, na dziedzicznym gruncie zarówno Ks. Stanisława Michalika, jak i Brata Antoniego Szewca, również stadniczanina. Dekret Kurii Metropolitalnej w Krakowie, zezwalający na erygowanie nowej placówki, został wystawiony pod datą 19.09.1946 roku. 10 kwietnia 1947 r. rozpoczęto pierwszą czynność budowlaną, a mianowicie kopanie studni, podczas gdy 10 czerwca tegoż roku Ks. Michał Wietecha poświęcił teren pod budowę tak domu nowicjackiego, jak i kościoła, który z czasem stał się kościołem parafialnym w Stadnikach.

O niesłychanym tempie prac budowlanych świadczy fakt, że już 14 sierpnia 1948 r. nowicjat przeprowadził się do nowego domu. Następnego dnia tj. w Uroczystość Wniebowzięcia NMP odbył swój skromy ingres do nowego domu jego pierwszy Rektor (Ks. Adam Gąsiorek), mianowany przez pierwszego prowincjała Ks. M. Wietechę (professio fidei złożył nowy Ks. Rektor jeszcze w kaplicy dworku państwa Michalików). Poświęcenia zaś nowowybudowanego kościoła dokonał w niedzielę 19 września 1948 r. Ks. Prałat Stanisław Mazanek z Krakowa. W niecałe trzy lata później tj. z dniem 1 marca

1951 r. została utworzona w Stadnikach niezależna placówka duszpasterska. Proboszczem został Ks. Czesław Kunda (jeden z ośmiu wzmiankowanych nowicjuszy, który po odbytych w międzyczasie studiach w Krakowie, został wyświęcony wraz ze swoimi kolegami w 1949 r.), wikariuszem zaś Ks. Dionizy Bucki SCJ. W roku 1954, a więc w czasie kiedy komunistyczne władze przystąpiły do jego likwidacji, klasztor w Stadnikach nie miał jeszcze dzisiejszego wyglądu. Wówczas na parceli otoczonej murem stał kościół wraz z przylegającym do niego domem. Miał on na pierwszym piętrze osiem widocznych od ulicy okien, a kończył się werandą, do której prowadziło wewnętrzne wejście z refektarza oraz zewnętrzne, od strony północnej. Z korytarza na pierwszym piętrze wchodziło się na taras, otoczony żelazną balustradą. Dom gospodarczy za stodołą i przylegające do niego nowowypbudowane skrzydło zachodnie były tylko przykryte i bez stolarki. Światła elektrycznego jeszcze nie było, jakkolwiek we wszystkich pomieszczeniach założona już była instalacja, jako że klasztor dysponował własnym agregatem, umieszczonym w końcu stodoły od strony zachodniej.

Prowincjałem polskiej prowincji SCJ był od 15 lutego 1953 Ks. Władysław Majka, który rezydował w Węglówce, gdzie pełnił również funkcję magistra nowicjuszy (zostali oni chwilowo przeniesieni do tej miejscowości, gdyż w międzyczasie w Stadnikach władze prowincji zmuszone były umieścić kleryków uzupełniających swe studia humanistyczne). I radnym prowincjalnym był Ks. Franciszek Nagy (rezydujący w Zakopanem), II zaś radnym, a równocześnie ekonomem prowincjalnym był wspomniany już Ks. Michał Wietecha, który w ciągu uprzednich sześciu lat pełnienia funkcji prowincjała nie tylko poszerzył i rozbudował ilość placówek, ale swą niesłychanie ofiarną pracą w sekretariacie, jemu zresztą zawdzięczającemu swe powstanie i organizację, zdobywał cenne fundusze na te

inicjatywy. Rektorem wspólnoty stadnickiej był podówczas Ks. Stanisław Sidełko, pełniący równocześnie funkcję III radnego prowincjalnego. Jego zastępcą był Ks. Franciszek Solak, a II radnym domowym Ks. Roman Kubina. Z uwagi na powojenne trudności lokalowe alumni naszej prowincji rozrzućeni byli po różnych placówkach: teologowie studiowali w Seminarium tarnowskim, klerycy z kursów filozofii przebywali w Krakowie, a w Stadnikach wspomniani już klerycy po profesji, którzy nie mieli jeszcze ukończonych studiów humanistycznych. Wydarzenia związane z likwidacją miały miejsce pod koniec lipca 1954 r. czyli w czasie wakacji, co sprawiło, że w Stadnikach znalazła się większa grupa kleryków, tu właśnie spędzających swe ferie letnie.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że właśnie z tym domem zakonnym w Stadnikach, w który włożono tyle serca, trudu i funduszy, prowincja wiązała duże nadzieje i to tym więcej, że w tamtym okresie tak młoda jeszcze prowincja posiadała niewiele placówek: Tarnów, Florynka, Binczarowa, Węglówka no i oczywiście macierzysty dom w Krakowie, który rozbudowany po wojnie o duże skrzydło i osobny dom w ogrodzie, został ich drastycznie pozbawiony przez władzę ludową w ramach likwidacji małych seminariów już dwa lata wcześniej czyli w 1952 r. (Nawiasem mówiąc, przy likwidacji domu w Krakowie-Płaszowie bardzo czynnym był zwłaszcza przedstawiciel Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa — niejaki Zbigniew Faryna, który w naszych szeregach wstawił się również niechlubnym braniem udziału w pościgu za Ks. Adamem Gąsiorkiem SCJ w Stadnikach, jesienią 1950 r., a także przeprowadzoną rewizją w pokoju tegoż Kapłana). Trudno więc dziwić się, że w tej sytuacji, po takich precedensach, nowy choć równie bezprawny „zamach” na stadnicką siedzibę Księży Sercanów, był dla nas wszystkich tak ogromnym ciosem i jakby gromem z jasnego nieba.

## Przebieg likwidacji

W poniedziałek, 26 lipca 1954 r. około godziny 17<sup>40</sup> zajechał przed kościół w Stadnikach samochód osobowy marki „Warszawa”. Nie wiadomo, czy jego pasażerowie nie zauważyli czy też nie chcieli zauważyć wejścia do domu znajdującego się obok kościoła, faktem jest, że po jakimś czasie podjechali pod bramę wejściową. Wówczas z samochodu wysiadło trzech panów, którzy zobaczywszy wracających do domu kleryków, próbowali, choć bezskutecznie, nawiązać z nimi rozmowę. Po niedługim czasie rozeszła się po domu wieść, że przyjechała komisja lekarska i będzie zwiedzać cały dom, by zbadać warunki sanitarne. Tak też rzeczywiście się stało. Trzej owi panowie w towarzystwie trzech naszych Księży (byli nimi Księża: F. Solak, R. Kubina i J. Bem, który w Stadnikach spędzał wakacje) przechodzili po wszystkich pokojach i pomieszczeniach, dyskretnie robili notatki, czynili różnego typu uwagi, wypytywali o wiele spraw. Jeden z nich był lekarzem, podczas gdy dwaj pozostali byli funkcjonariuszami urzędu bezpieczeństwa. Dla mieszkańców domu szczególnym powodem obaw był moment, kiedy „komisja” zdecydowała się zejść do piwnicy, gdzie w jednym z pomieszczeń znajdowało się mięso „z nielegalnego uboju”. Na szczęście nieproszeni wizytatorzy przeszli tylko korytarzem piwnicy, wszystko więc skończyło się jedynie na strachu.

Wtorek, 27 lipca, a także dzień następny upłynęły pod znakiem szczególnych domysłów i obaw. Przede wszystkim dziwił nas sam skład „Komisji sanitarnej”, złożonej z aż dwóch ubowców. Cały zresztą przebieg wizyty i zachowanie się „komisji” wskazywało raczej na próbę penetracji pomieszczeń, niż na kontrolę sanitarną. Ks. Rektor Stanisław Sidełko był od ostatniej niedzieli poza domem, dlatego obecni Księża (oprócz trzech wyżej wymienionych znalazł się w tej grupie także Ks. proboszcz Cz. Kunda oraz Ks. Stanisław

Michalik), po wspólnej naradzie postanowili zarządzić w klasztorze ostre pogotowie polegające na tym, że nikt nie powinien się oddalać z domu na dłuższy czas, aby w razie niebezpieczeństwa znalazło się w nim jak najwięcej mieszkańców. Trzeba zaznaczyć, że w omawianych dniach przebywało w Stadnikach około 40 kleryków: prócz tych ze Stadnik, byli tam — jak już wspomniano — klerycy SCJ z Tarnowa oraz dwóch z Krakowa. W związku z zarządzeniem mogli oni tylko na krótki czas i w małych grupkach udawać się nad Rabę lub pograć w piłkę za murami klasztoru. O pobycie w Stadnikach dziwnej „komisji” zostały też powiadomione władze prowincji.

Czwartek, 29 lipca 1954 r. Po ciszy przedpołudniowej, podczas odmawiania w ogrodzie Koronki ku czci Najśw. Serca Jezusowego, około godziny 11<sup>50</sup> zajechał przed kościół w Stadnikach urzędowy samochód. Podczas gdy kierowca pozostał w wozie, do furty klasztornej zadzwoniło trzech panów, którzy potem okazali się być funkcjonariuszami wojewódzkiego UB. Chcieli się zobaczyć z przełożonym domu i dlatego Br. Paschalis zawiadomił Ks. Wicerektora F. Solaka, wracającego z całą grupą modlitewną z ogrodu do kaplicy, że w poczekalni czekają na niego nieznani panowie. Błyskawicznie rozeszła się po domu wieść, że znów mamy wizytę ubowców.

Po przedstawieniu się funkcjonariusze wręczyli Ks. Solakowi dekret Wojewódzkiej Rady Narodowej w Krakowie zarządzający natychmiastową likwidację placówki Księży Sercanów w Stadnikach. Zażądali kluczy od bramy wjazdowej, bezzwłocznego pakowania się zakonników oraz wydali zakaz opuszczania domu przez kogokolwiek (z wyjątkiem proboszcza) bez ich wiedzy. Ks. Solak przez blisko dwie godziny stawiał dzielny opór, wykazując że jest to bezprawie czy nawet po prostu przemoc dokonywana w ramach „prawa”, a w końcu stwierdził, że nic nie można zrobić bez skontaktowania się z Księdzem Prowincjałem.

Cała wspólnota, zgromadzona po obiedzie przed domem, w napięciu oczekiwała na wynik tej przykrej rozmowy. Wreszcie Ks. R. Kubina wszedł do poczekalni, by tam dowiedzieć się smutnej prawdy. Kiedy wyszedł i bólem oznajmił, że nas likwidują, że zabierają dom i całą posiadłość w Stadnikach, po początkowym momencie ośłupienia, zawrzało pośród nas oburzenie. Pod adresem ludowej władzy posypały się cierpkie słowa, płynące z poczucia wielkiej krzywdy i niesprawiedliwości. Nasze poczucie krzywdy było tym większe, iż nie wiedzieliśmy dlaczego nam zabierają klasztor, na jakie cele zostanie przeznaczony po naszym wyjeździe, co w nim urządzią, czy tracimy go na stałe czy tylko czasowo? Nie znajdując odpowiedzi na żadne z tych pytań, wspólnie zdecydowaliśmy stawiać przynajmniej bierny opór wobec tak jawnego pogwałcenia naszych praw.

O godz. 14<sup>30</sup> Ks. Solak wraz z jednym z ubowców wsiadł do czekającego samochodu i dojechał do Księdza Prowincjała do Węglówki. Pozostali zaś dwaj funkcjonariusze UB przeszli z poczekalni na II piętro domu i zajęli pokój na wprost schodów, skąd mieli po prostu lepszy punkt obserwacyjny. Nasi klerycy z Tarnowa rozstawili się od razu po dwóch na poszczególnych piętrach domu i, spacerując po korytarzach, pilnowali każdego kroku ubowców.

W tym samym czasie dwaj klerycy: Niziołek i Rokowski wyszli chyłkiem z domu i udali się w kierunku Gdowa, a następnie pojechali do Krakowa, by powiadomić o tym co zaszło wspólnotę płaszowską. Pięciu z kolei scholastyków stadnickich (m.in. F. Czaja i K. Stasiuk) wracało tego dnia z dłuższej przechadzki. Ich to właśnie beztrósco wracających do domu spostrzegł pod Wiśniową Ks. Solak. Mimo dużej prędkości samochodu, nie zważającego na wyboistość drogi, udało się Ks. Solakowi odpowiednim machaniem kapelusza dać klerykom do zrozumienia, by jak najprędzej wracali do klasztoru, gdyż wydarzyło się coś niedobrego.

Zajechawszy pod plebanię na Węglówce Ks. Solak wszedł sam do Księdza Prowincjała Wł. Majki. Kiedy po chwili powrócił i powiedział funkcjonariuszowi UB, że przełożony prowincjalny upoważnił do załatwiania całokształtu spraw Ks. Michała Wietechę z Krakowa, wywołał tym niesłychaną wściekłość urzędnika, który szybko zrozumiał, że chodzi tu o grę na zwłokę. Podróż powrotna do Stadnik odbyła się więc w milczeniu. W jakąś godzinę potem Ks. Solak wyjechał rowerem do Gdowa, aby stąd autobusem PKS-u dostać się do Krakowa do Ks. Michała Wietechy.

Tego samego dnia w godzinach wieczornych przybyli do Stadnik dalsi klerycy z Krakowa i Tarnowa, aby wzmocnić liczebnie grupę obecnych tu już współbraci.

Także pod wieczór tego dnia funkcjonariusze UB odesłali samochód służbowy do Krakowa, a sami zostali w klasztorze, by czuwać nad całością spraw. W czasie pokolacyjnej rekreacji wyszli nawet na ogród, aby — jak się wyraził jeden z nich — oglądnać swoje „chadziajstwo”. Noc spędzili na parterze domu, w sali księży.

Piątek, 30 lipca 1954 r. Noc z czwartku na piątek przeszła spokojnie, choć dyskusjom i rozważaniom w naszych szeregach nie było końca. Wytworzona sytuacja po prostu spędzała sen z powiek. W piątek rano została wzmocniona ekipa ubowców: dołączył do nich wspomniany już wyżej Zbyszek Faryna. Około godz. 8<sup>30</sup> przyszli pieszo z Gdowa Ks. Solak i Ks. F. Nagy — wiceprowincjał, który też zaraz przejął prowadzenie spraw. Z miejsca dał też odpowiednią odprawę ubekowi Farynie: udał, że nie zauważył jego wyciągniętej na powitanie ręki i z dużą ironią w głosie zapytał: „to pan tutaj?”. Od razu rozpoczęła się też długa dyskusja nad dekretem kasacyjnym. Gdzieś około godz. 10<sup>45</sup> polecono niektórym klerykom (Włoch, Skowronek, F. Czaja, Z. Słupczyński, S. Leks), aby wykonali dokładny spis żywego i martwego inwentarza domu i gospodarstwa. Te przedłużające się mocno

czynności z pewnością nie były na rękę funkcjonariuszom UB i to tym bardziej, że cała sprawa zaczynała się odbijać głośnym echem tak w Krakowie, jak i w powiatowych Myślenicach. Około godz. 15<sup>00</sup> przyjechał z Krakowa Przewodniczący Rady Wojewódzkiej, ale po zapoznaniu się z sytuacją wkrótce odjechał. Tymczasem Ks. Michał Wietecha wysyłał pośpiesznie zażalenie do Rady Państwa ukazujące niesprawiedliwość i krzywdę zawarte w dekreście Wojewódzkiej Rady Narodowej. Oto in extenso treść owej skargi:

Zgromadzenie Księży Najśw. Serca Jezusowego  
Kraków-Płaszów  
ul. Saska 2

#### Do Rady Państwa w Warszawie

W dniu 28 lipca 1954 r. zjawiło się w naszym klasztorze w Stadnikach, pow. Myślenice, trzech mężczyzn z pismem Prez. Woj. Rady Nar. w Krakowie, którego to pisma kopię załączam, i poleciło zakonnikom natychmiast opuścić nasz klasztor w Stadnikach.

Wymienione pismo nie godzi się z obowiązującymi ustawami, ponieważ:

1. Prez. Wojew. Rady Nar. w Krakowie powołuje się na art. 16 prawa o stowarzyszeniach. Artykuł ten w żaden sposób nie może odnosić się do naszego zakonu, który przecież nie jest stowarzyszeniem świeckim, bo aczkolwiek dekret z dnia 5 VIII 49 r. zmienia art. 6 prawa o stowarzyszeniach podporządkowując przez to w pewnej mierze zakony władzy państwowej, to jednak wyraźnie zakony rozróżnia od stowarzyszeń świeckich i stąd wszystkich przepisów prawa o stowarzyszeniach nie stosuje się do kongregacji zakon-

nych. Ust. 2 art. 2 tegoż dekretu łącznie z rozporządzeniem Min. Adm. Publ. z dnia 6 VIII 49 r. zmienił nie tylko tryb postępowania w sprawie rejestracji i zgłoszeń, ale również i istotne przepisy prawa o stowarzyszeniach. Zakon jako instytucja kościelna zależy przede wszystkim od przepisów Prawa Kanonicznego i dlatego ustawodawca świecki nie mógł zrównać kongregacji zakonnych ze świeckimi stowarzyszeniami.

2. Gdyby nawet można było jakoś naciągnąć do nas art. 16 to i wtedy Prez. Wojew. Rady Nar. w Krakowie nie ma prawnej kompetencji nad naszym Zgromadzeniem, gdyż bezpośrednią władzą nadzorczą Zgromadzenia jest Urząd do Spraw Wyznań, który przejął kompetencję po Ministerstwie Adm. Publ.
3. Art. 16 prawa o stowarzyszeniach ponadto pozwalając władzy zawiesić działalność stowarzyszeń stawia jej wiele istotnych warunków, które muszą tę decyzję poprzedzić. Pismo Woj. Rady Nar. tę istotną sprawę przecocza.
4. W rzeczywistości jednak do w/w sprawy w żaden sposób nie można stosować prawa o stowarzyszeniach, tak czy owak interpretowanego, ponieważ w konkretnym wypadku nie chodzi o zawieszenie działalności Zgromadzenia, ale o pozbawienie własności nieruchomości, a to zaś przeprowadza się w zupełnie innym trybie prawnym, ustalonym przez odpowiednie ustawy i dekry.
5. Z rozmowy ze wspomnianymi trzema osobami wynika, że pozbawia się Zgromadzenie jego bezspornej własności nieruchomości w Stadnikach (teren, na którym znajduje się klasztor jest ojcowizną w części jednego z naszych księży, a w części jednego z naszych braci zakonnych), odpowiednia zaś ustawa gwarantuje nienaruszalność własności klasztornej.
6. Pozbawia się kilkudziesięciu zakonników mieszkania, a przecież dekret o gospodarce lokalami wyłącza lokale

przeznaczone na służbę Bożą, a takim jest nasz klasztor w Stadnikach.

7. Pozbawia się kilkudziesięciu zakonników dachu nad głową, bo przecież nie pomieści ich nasz klasztor w Krakowie-Płaszowie, okrojony bezprawnym zabraniam 3 VII 52 r. domu zamieszkałego przez zakonników, którzy na skutek tego zmuszeni byli szukać schronienia w Stadnikach. Nie pomieści ich też nasz klasztor w Tarnowie mały i zupełnie zamieszkały.

Pomni na art.4 Konstytucji PRL, że każdy organ władzy może działać tylko w oparciu o przepisy prawa, a Prez. Woj. Rady Nar. w Krakowie stwarza — jak wykazano — tylko fikcję prawa i tym samym jest w sprzeczności z art. 4 Konst. PRL, który postanawia, że „ściśle przestrzeganie praw Polskiej RL jest podstawowym obowiązkiem każdego organu państwa”, bardzo prosimy i jesteśmy ufni, że zostanie cofnięta nieoparta na prawie i bardzo nas krzywdząca decyzja Prez. Woj. Rady Nar. w Krakowie.

Kraków, dnia 28 lipca 1954 r.

Za Zgromadzenie:  
*Ks. Michał Wietecha*

Jako proboszcz skorzystałem z możliwości poruszania się i wychodzenia z domu. Poszedłem więc pieszo przez Niezdów i Rabę do Dziekanowic w nadziei, że spotkam tam może Ks. Rektora Sidełkę. Przypuszczałem bowiem, że mógł się znaleźć u swego brata Ks. Jana, wikariusza w tamtejszej parafii. Po przejściu Raby zauważyłem sznur samochodów ciężarowych, wyładowanych wszelkiego typu bagażami i meblami, które jechały w stronę Myślenic. Dopiero potem dowiedziałem się, że samochody te wiozły rzeczy z klasztoru kontemplacyjnego PP. Benedyktynek ze Staniątek, który również uległ likwidacji. Przewożono dobytek Sióstr do Alwerni lecz okrężną

drogą, aby po prostu uniknąć przejazdu przez Kraków. Spontanicznie rodziło się pytanie: dlaczego? Od wieków żaden okupant nie targnął się na to staniąteckie Sanktuarium Matki Boskiej Bolesnej i na stary konwent jego strażniczek Panien Benedyktynek. Dla władzy ludowej nic nie było jednak wystarczającą świętością, gdyż wszystko miało być podporządkowane dobru robotnika i chłopa, a ponadto samo życie zakonne w oczach nowych władców Polski trąciło mocno średniowieczem, nie do pogodzenia z sytuacją „wysocę oświeconego” komunizmu.

Powiadomieni przeze mnie o wydarzeniu niektórzy parafianie, ukryci w zaroślach pagórków Kędzierzynki obserwowali sytuację. Opowiadali potem, że wraz z licznymi wczasowiczami śledzili wszystkie ruchy wokół klasztoru i byli wciąż gotowi w odpowiedniej chwili przyjść z pomocą.

Wieczorem powrócił z Węglówki Ks. Dionizy Bucki, wikariusz parafii Stadniki. Natomiast tuż przed modlitwami wieczornymi tzn. o godzinie 20<sup>30</sup> od strony Myślenic zajechało przed klasztorną bramą, dotychczas zamkniętą, pięć samochodów w tym trzy ciężarówki i dwa osobowe. Ubowcy z dużym nasileniem zaczęli żądać od Księża wydania kluczy od bramy grożąc im nawet aresztem za umyślne opóźnianie akcji likwidacyjnej. Po dobrej godzinie utarczek w tej sprawie otwarto bramę i samochody wjechały na podwórze klasztorne. Był to sygnał dla wiernych. Nie wiadomo skąd za niewielką chwilę napłynęła pod kościół gromada ludzi, około setki, którzy głośno wyrażali płacz i lament, iż dzieje im się krzywda, gdyż wywozi się księży i zabiera kościół. Funkcjonariusze UB wpadli w prawdziwą złość a nawet panikę, bo stało się to czego się najbardziej obawiali. Planowali bowiem pod osłoną nocy wywieźć przynajmniej dużą część mienia klasztornego, gdy tymczasem interwencja ludzi zdawała się całkiem krzyżować te plany. Wściekali się więc na Księża oskarżając ich o spowodowanie takiego obrotu sprawy. Poprzez

ogrodzenie klasztorne próbowali perswazją przekonać wier-nych, że nie dzieje im się żadna krzywda, gdyż kościół nie będzie zamknięty. Gdy to jednak nie przynosiło pożądanego skutku, zaczęli wywierać presję na Księży, aby oni ludzi uspokoił i skłonili do rozejścia się. Zdaniem funkcjonariuszy winien w tym względzie zainterweniować proboszcz i poczynić odpowiednie ogłoszenia. Wówczas odparłem, że „ogłoszenia robię tylko w kościele i to w niedzielę. Ja ludzi nie zwoływałem i nie będę ich rozpędzał”. Po dłuższych naleganiach, także i ze strony Księży, poszedłem w końcu przez kościół i od wewnątrz otwarłem jego drzwi wejściowe. Kiedy wierni zobaczyli mnie w drzwiach, gromadnie krzyknęli: „O, Ksiądz Proboszcz!” i zbliżyli się do schodów kościelnych. Wówczas oznajmiłem krótko: „Kościół nie zamykają. Zostaję tu razem z Księdzem wikarym”. Wierni usilnie prosili, aby już nie zamykać kościoła. Niektórzy weszli do wnętrza i pozbierali rozłożone na ławkach śpiewniczki (obite na powielaczu). Ludzi zaczęło coraz więcej przybywać w kościele. Śpiewali pieśni i modlili się na różańcu i przez całą noc pilnie obserwowali czy czegoś nie wywożą z klasztoru.

W domu tymczasem współbracia zdecydowali prowadzić akcję zabezpieczającą: nie mając najmniejszego pojęcia jakie są plany funkcjonariuszy UB, klerycy rozlokowali się równomiernie po wszystkich pomieszczeniach obydwu domów. Księża, z wyjątkiem Ks. Michalika, który spał w mieszkaniu przy domu gospodarczym, pozostali na noc w domu głównym. Około godziny 23<sup>00</sup> kierowcy samochodów oraz robotnicy, którzy przyjechali do pomocy w ładowaniu naszych rzeczy, udali się do stodoły na spoczynek. Jak to czyniło się zwykle i dla bezpieczeństwa, także i tej nocy pies został spuszczone z łańcucha. Miało to fatalny skutek dla jednego z ubowców, który wyszedł nocą na zewnątrz domu, prawdopodobnie aby pod osłoną ciemności przedostać się poza Stadniki, by zawiadomić władze o zaistniałej sytuacji. Pies szybko go dopadł

i gdyby nie interwencja Księża, byłoby się to skończyło znacznie gorzej niż tylko na potarganych spodniach nieostrożnego funkcjonariusza. Psa jednak musieliśmy od razu uwiązać, a ponadto polecono nam, że musimy go zabrać ze sobą, wyjeżdżając ze Stadnik. Po „wyłączeniu psa z akcji” inny z funkcjonariuszy mógł faktycznie przejść przez mur klasztorny od strony zachodniej i niedostrzeżony przez pilnujących ludzi udać się do Dobczyc, by powiadomić odpowiednie czynniki o raczej niezręcznej dla nich sytuacji. Trzeba dodać że w tamtych czasach w Stadnikach nie było ani urzędu pocztowego, ani telefonu.

### **Sobota, 31 lipca 1954 r. Dzień likwidacji.**

Pobudka tego dnia miała miejsce o zwykłej porze tj. o godz. 5<sup>50</sup> po czym odbyły się poranne ćwiczenia zakonne w kaplicy domowej. Także i w kościele parafialnym celebrowano o zwyczajnej porze Mszę św. Kościół był wypełniony wiernymi, a przed kościołem stały grupki pikietujących ludzi, często się zmieniające. Ludzie wyczuleni byli na każde „nowe” zachowanie się wewnątrz klasztoru. I tak np. kiedy jeden z kierowców zapuścił silnik swego samochodu, ludzie natychmiast wybiegli przed kościół i przywarli do siatki ogrodzenia, aby obserwować co się dzieje. Ta czujność ludzi nie mogła ująć uwadze ubowców dlatego też jeden z nich, mocno zdenerwowany, wyzwał kierowcę od „idiotów” i „głupców”. Podczas samej jednak Mszy św. w kościele robotnicy, pod nadzorem funkcjonariuszy, zdążyli załadować dwa samochody łózkami i materacami z pokoi na pierwszym piętrze. Po Mszy św. w kościele, ubowcy prawdziwie lękając się ewentualnego natarcia ze strony wiernych, zabezpieczyli od strony korytarza drzwi wahadłowe, prowadzące do kościoła, barykadując je stołem z poczekalni. I faktycznie, wierni stwier-

dziwsiy jakieś podejrzané ruchy w klasztorze, zaatakowali te drzwi od strony kościoła chcąc się przedostać do domu. Funkcjonariusze z kolei wobec krzyków dochodzących z kościoła, wzmocnili barykadę krzesłami, a kiedy pan Drabik z Bystrzycy uderzył dębowym kołkiem w drzwi, odskoczyli na schody wołając: „Proboszcz, proboszcz!”. Na te krzyki zbiegłem w dół z mego pokoju na II piętrze i przez zamknięte drzwi zawołałem do zebranych w kościele: „Róbcie co chcecie, ale nie przez kościół, bo za niego ja odpowiadam przed Bogiem i biskupem!”. Ludzie powoli zaczęli się wycofywać, a straż przy drzwiach powierzono klerykowi R. Skowronkowi.

Nieudana operacja przy drzwiach wahadłowych skłoniła ludzi do wyjścia z kościoła i do zastanawiania się, jakim sposobem można by było się przedostać na zaplecze klasztoru, gdzie zresztą już od samego rana trwał dziwny ruch. Wreszcie ktoś zauważył, że brama w murze przy kościele od strony wschodniej nie jest zamknięta na kłódkę (przypomnę w tym miejscu, że dawniej procesje odbywały się wokół kościoła i klasztoru i dlatego brama, o której mówię była używana dosyć często. Potem jako nieużyteczna, została zamurowana). Po dostrzeżeniu więc tej możliwości pan Mieczysław Michalik przyniósł szybko drabinę od sąsiada A. Sawskiego i z jej pomocą kilku mężczyzn przeszło przez mur, dzięki czemu mogli od wewnątrz otworzyć bramę. Kiedy po spożytym śniadaniu byliśmy w ogrodzie i obserwowaliśmy jak robotnicy ładują nasze rzeczy do samochodu podstawionego pod drzwi wychodzące na alejkę, nagle koło godziny 8<sup>30</sup> zobaczyliśmy tłum ludzi, którzy okrążając kościół, z okrzykami „Wy złodzieje, gestapowcy, bandyci!” natarli tłumnie w kierunku załadowywanego samochodu. Robotnicy wprost skamienieli, a ludzie błkawicznie rozładowali auta wnosząc rzeczy z powrotem do domu. Ubowcy w osłupieniu wycofali się. Po jakimś czasie zaczęli ludziom perswadować, chociaż wyraźnie bali się zbliżać do tłumy. Pośród wiernych natomiast od

samego rana kręcili się tajniacy i wszystko pilnie obserwowali. Nie zostali przez nikogo zdemaskowani, choćby tylko dlatego, że razem z wiernymi ze Stadnik w proteście uczestniczyła duża liczba ludzi obcych, spoza terenu. Księża i klerycy przysłuchiwali się dyskusjom i kłótniom obserwując wszystko z okien i z ogrodu.

Około godziny 10<sup>30</sup> przystapiono ponownie do ładowania rzeczy na samochody, tym razem z domu gospodarczego przez okna. Protestujący przesunęli się więc w ten rejon i ponownie zaczęli przeszkadzać w tej pracy. Niektórzy nawet wdarli się do domu, na schody i korytarze, aby zablokować akcję. Ks. F. Nagy został zmuszony, aby przemówić do wiernych i próbować ich uspokoić. O tym jaka atmosfera wytworzyła się w całej parafii niech świadczy fakt, że kiedy wezwany około godz. 11<sup>00</sup> do chorej na Kwapinkę, i po udzielonych sakramentach zatrzymałem się na chwilę na rozmowę z wiernymi, usłyszałem takie pytanie ze strony obecnych: „Proszę Księdza Proboszcza, co my teraz mamy robić po tym przemówieniu waszego Księdza? Myśmy całkiem zbaranieli!”. Powróciwszy do klasztoru dowiedziałem się, że w międzyczasie zostało aresztowanych trzech uczestników protestu. Przetrzymano ich w gmachu milicyjnym w Dobczycach przez 24 godziny i wypuszczono.

„Nadeszło południe — relacjonuje jeden z kleryków — i jak zwykle rozpoczęliśmy odmawiać koronkę ku czci Najśw. Serca P.Jezusa na alei lipowej w ogrodzie. Następnie długi wąż kleryków, idących gęsiego, okrążył dom, by głównym wejściem dostać się do kaplicy (wejście tylne domu zostało bowiem zamknięte). Ludzie znajdujący się na klatce schodowej z szacunkiem się usuwali i patrzyli na nas trochę jak na męczenników. Niektórzy starali się z nami nawiązać rozmowę, ale na to nie mogliśmy sobie w tym momencie pozwolić. Obiad był ostatnim posiłkiem jaki wspólnie zjedliśmy w Stadnikach”.

Na naszym podwórzu roiło się od ubowców. Było ich chyba ponad dwudziestu. Przybywało też rozmaitego gatunku samochodów, a około godziny 14<sup>00</sup> przyjechał autobus PKS-u. Można się było łatwo domyśleć po kogo. W czasie obiadu udało się ubowcom usunąć z terenu klasztoru miejscową ludność. Wierni, wyparci na zewnątrz, zatrzymali się za ogrodzeniem i przez siatkę obserwowali wszystkie ruchy ludzi i pojazdów. Odeszli trochę dalej od ogrodzenia dopiero wtedy, kiedy po godzinie 14<sup>00</sup> od strony Dobczyc przyjechał ciężarowy samochód wiozący około dwudziestu oficerów umundurowanej milicji. Nastrój się zmienił skoro wkroczyła urzędowa siła. Mówiono potem, że była to milicja z Nowej Huty.

Tymczasem załadowane auta co chwila odjeżdżały do Krakowa przez Dobczyce. Szła pogłoska, że nie chcą jechać przez Gdów, gdyż boją się akcji partyzanckiej, którą mógłby ułatwić las góry Bednarskiego, podchodzący prawie do samej drogi. Faktem jest, że dopiero po południu zdecydowano się wysłać niektóre samochody via Gdów. W charakterze konwojenta z pierwszym samochodem pojechał kleryk R. Skowronek, a potem pojedynczo inni nasi alumni z Tarnowa. Kierowcy samochodów na ogół klęli pod nosem i narzekali, że wpakowano ich w taką robotę. Jadąc do Stadnik żaden z nich nie wiedział jaki jest cel tego wyjazdu.

Po południu PKS-em przyjechał do Gdowa Ks. Michał Wietecha i szedł pieszo do Stadnik. Funkcjonariusze dowiedziawszy się o tym wysłali po Niego samochód, ale Ks. Michał odmówił skorzystania z „uprzejmości” tych, którzy rabowali owoc Jego pracy, krwawicy i — powiedzmy szczerze — zdrowia. Do Stadnik przyszedł, jak zawsze, w sutannie, czarnym płaszczu i kapeluszu oraz z nieodstępną teczką w ręce. Nie trzeba chyba dodawać jak mocno był przybity zastaną sytuacją...

Trzeba przyznać bezstronnie, że funkcjonariusze UB wczuwali się jakby w naszą krzywdę i może dlatego wobec Księży

i kleryków byli bardzo grzeczni. Starali się ze spokojem załatwiać rodzące się napięcia, a równocześnie dbali o to, aby wszystko było dobrze załadowane, by nie uległo zniszczeniu przy transporcie. Sami prosili nawet, aby ktoś z Księży dopilnowywał załadunków. Do tej przykrej, choć koniecznej funkcji Ks. Solak wyznaczył kleryka Adama Włocha. Mimo to przy tak szeroko zakrojonej akcji nie udało się wszystkiemu zapobiec i sam widziałem w jednym z pomieszczeń zarówno obrazy jak i krzyże porzucane w pośpiechu. Spostrzegłem też jak przykre wrażenie wywarło to na jednym ze świeckich ludzi, który znosił meble do samochodu.

Z każdym odjeżdżającym samochodem topniała ilość sprzętów naszego ukochanego domu stadnickiego. Potem przyszła kolej na inwentarz żywy. Ładowaniem go na samochody zajął się jeden z bardzo gorliwych ubowców, który do tej pracy zapędził także innych swoich, odświętnie ubranych, kolegów. Szkoda, że nie można było tej akcji utrwalić na taśmie. Ci elegancko ubrani panowie uganiający się za naszymi wieprzkami, niejednokrotnie zmuszeni byli kłaść się na te „potulne” stworzenia, by potem we czwórkę ładować je na auto.

W godzinach popołudniowych przyjechał przedstawiciel Ministerstwa i on zajął się prowadzeniem akcji. Z łatwością zauważaliśmy, iż wystarczyło, aby on tylko spojrzął na któregośkolwiek z funkcjonariuszy, aby ten ze strachu tracił głowę. Sami więc ubowcy chodzili przy nim jak w zegarku.

O godzinie 17<sup>30</sup> kazano nam wszystkim zebrać się w refektarzu, dokąd też przyszli zarówno przedstawiciel Ministerstwa, jak i kierownik akcji likwidacyjnej. Milczenie, jakie zapanowało na wstępie, przerwał Ks. F. Nagy — Wiceprowincjał, który podkreślił, że zebraliśmy się na wyraźne życzenie przedstawiciela Ministerstwa. Zaznaczył, że trwały przetargi na temat tego, jakim sposobem w tych warunkach zniewolenia mamy odejść ze Stadnik, że Księża, również w

imieniu kleryków, podjęli decyzję, że nie będziemy korzystać z podstawionego autobusu. Tu włączył się Ks. Michał Wietecha i powiedział, iż zdecydowanie odmówił skorzystania z tej „łaskawości” władz i że skoro zawsze chodziliśmy pieszo do Gdowa na przystanek PKS-u, także i dziś, po doznaniu tak wielkiej krzywdy, tym sposobem pójdziemy ze Stadnik. Zwracając się do kleryków dodał: „nie mogę wam nakazać, jakim sposobem opuścicie wasze seminarium, bo to od was zależy. Ja, jako wolny obywatel, pójdę do Gdowa pieszo”. Potem Ks. Michał dodał, że ma jeszcze przemówić przedstawiciel Ministerstwa. Upłynęło kilka chwil w milczeniu, po czym reprezentant władzy centralnej powiedział mniej więcej te słowa: „Ja nie mam wam nic do powiedzenia, najwyżej tylko tyle, że jest rozkaz, abyście ten dom opuścili i to opuścili wyjeżdżając samochodem. Proszę więc niech wystąpi, kto pierwszy zgłasza się na ochotnika. Najpierw pojedzie trzydziestu, potem reszta. Wszelkie niepodporządkowanie się zarządzeniom uznane będzie jako opór wobec władzy”. Po słowach tych zapanowała cisza, która wkrótce przemieniła się w dyskusję i formalną kłótnię między naszą wspólnotą, a przedstawicielami władzy. Wszyscy, jak jeden mąż, zdecydowali się iść pieszo do Gdowa. Po blisko godzinnej i dosyć burzliwej dyskusji, w której klerycy brali czynniejszy udział niż Księża, a zdenerwowani ubowcy popisywali się swoją ignorancją historyczną (m.in. typu: królowie w średniowieczu też znosili zakony), przedstawiciel Ministerstwa uznał, że dzieje nam się krzywda, że cała akcja jest bezprawiem („musi być 30 lat bezprawia, aby potem nastął porządek”), że rozumie nasze oburzenie, ale nie może się zgodzić, byśmy szli do Gdowa pieszo, gdyż tym gestem chcemy zamanifestować wrogość wobec państwa i zagrać rolę męczenników, itp. Funkcjonariusz UB, kierujący akcją, podsunął nam jeszcze myśl, abyśmy — skoro taka jest nasza wola — szli do Gdowa piątkami z kilkunastominutowymi odstępami

czasu. W tym momencie Ks. Michał Wietecha zdecydował, że pójdziemy do kaplicy na nabożeństwo.

Nabożeństwo odprawił Ks. Stanisław Michalik. Było krótkie, ale ogromnie wzruszające. Po odśpiewaniu na wystawienie Najśw. Sakramentu „Ave verum”, nastąpił „Akt wynagrodzenia Najświętszemu Sercu”, potem zwyczajowe modlitwy za Zgromadzenie, naszą Prowincję i Dobroczyńców. Po błogosławieństwie Najśw. Sakramentem zaśpiewaliśmy „Królowej swej...”, po czym Ks. Michał Wietecha powiedział cicho: „A teraz jak kochające dzieci żegnające się z matką ucałujmy progi tego domu!”. Nagłe wzruszenie i szloch nie pozwoliły Mu mówić dalej. Jego płacz udzielił się wszystkim w kaplicy. Długo nie mogliśmy się ruszyć do wyjścia. Dopiero po chwili, jak opisuje to jeden z kleryków, wyszli Księża, a za nimi alumni.

Zdecydowaliśmy się iść do Gdowa piątkami, ale w międzyczasie nasi „opiekunowie” postanowili, że jednak będziemy wyjeżdżać. Zamknięto drzwi domu od południa, a przy wyjściu z werandy postawiono milicjantów. Pozostało zatem otwarte tylko wyjście z domu w kierunku alei, pod które podstawiono już autobus PKS-u, poprzedzony funkcjonariuszami milicji, ustawionej szpalerami od samych drzwi. Piątka kleryków, która miała wymaszerować pierwsza, wróciła do domu z chwilą, kiedy milicja pokazała im tylko jeden kierunek: do autobusu. Na korytarzu pierwszego piętra zrobiło się cisano i przykro, nikt bowiem nie chciał pierwszy wsiadać do autokaru. Kiedy zorientowano się, że naprawdę nie ma innej drogi, ruszono ławą w kierunku autobusu. Niektórzy usiłowali przebić się przez kordony milicji pod pretekstem, że muszą jeszcze iść po rzeczy do domu gospodarczego, ale w wyniku szamotaniny z funkcjonariuszami MO jednych wepchnięto siłą do autobusu, a stawiającym opór jak klerykowi A. Nagyemu i Rokowskiemu odebrano dokumenty stwierdzając, że są aresztowani (skończyło się oczywiście tylko na straszaniu).

W efekcie trzydziestu kleryków przemocą załadowano do autobusu. Po wyznaczeniu dwu konwojentów (jeden siedział z przodu, drugi z tyłu autobusu), zamknięto drzwi i autokar ruszył w kierunku bramy wjazdowej. Pozostali scholastycy ruszyli za autobusem z nadzieją przedostania się poza bramę klasztoru, ale krzykliwa interwencja tak ubowców, jak i milicji uniemożliwiła zrealizowanie tego zamiaru. „Staliśmy przez chwilę — relacjonuje kronikarz — patrząc jak autobus za bramą skręcił w kierunku Dobczyc i dodał gazu. Potem wszyscy wróciliśmy do ogrodu, niektórzy z nas zerwali trochę kwiatów i tak udaliśmy się wszyscy pod figurkę Matki Boskiej, która od samych początków tj. od czasów okupacji niemieckiej opiekowała się naszym mieniem w Stadnikach. Tam ukięknawszy odmówiliśmy po cichu różaniec, polecając stadnicką placówkę dalszej opiece Naszej Przemężnej Orędowniczki. Następnie zaczął się czas oczekiwania na powrót autobusu. Domy opustoszały. Ks. M. Wietecha odjechał rowerem ze Stadnik do Gdowa. Pod wieczór przybyli jeszcze do klasztoru, z pewnymi trudnościami, klerycy Skowronek i Słupczyński. Kleryka Karpierza z drogi zawrócił Ks. Bem. Czas zaczynał się wlec, wszyscy byliśmy zmęczeni przeżyciami. Ponieważ domy były puste, skupiliśmy się koło kuchni, gdzie niektórzy szukali coś do jedzenia, a inni po prostu położyli się na stołach i drzemali. Atmosfera smutku i przygnębienia znacznie się powiększyła, kiedy nastął zmrok i zaczął mżyć deszcz.

Autobus wrócił dopiero o jedenastej w nocy. Już nie miał kto przymuszać do zabrania się nim, wsiedliśmy sami scholastycy z jednym Księdzem — Michalikiem. Samochód opuścił teren klasztoru o godz. 23<sup>05</sup> w dniu 31 lipca 1954 r. W Dobczycach opuścił autobus „anioł stróż z UB” i dalej jechaliśmy już sami. W Krakowie na ul. Wielickiej spotkaliśmy ciężarówkę z naszymi rzeczami osobistymi — samochód się zepsuł i czekano na pomoc. O godz. 0<sup>57</sup>

byliśmy w Płaszowie. Był już zatem dzień 1 sierpnia 1954 r.”.

Pierwszy autobus, który przywiózł kleryków zatrzymał się przed zamkniętą bramą w Płaszowie. Nikt nie kwapił się do wysiadania. Dwaj konwojencie wysiedli i poszli do furty. Po kilku minutach wrócili wraz z Ks. Władysławem Marekwią, jako zastępcą przełożonego. Ks. Marekvia nie chciał przyjąć nikogo do domu twierdząc, że nie ma miejsca. Jeden z ubowców przekonywał przełożonego, że jedną noc da się wytrzymać, a na drugi dzień pojedą dalej. Klerycy z Tarnowa faktycznie pojechali zaraz do siebie.

W Płaszowie przywożone rzeczy wyładowywano na dużym korytarzu od strony podwórka, a kleryków na spanie rozmieszczano na strychach obydwu domów: głównego i tzw. białego. Inni spali na korytarzach. Klerycy z Tarnowa, którzy dojechali drugim kursem autokaru, pojechali do siebie w niedzielę 1 sierpnia. Brak miejsca i ciasnota w Płaszowie spowodowana była faktem, że dwa lata wcześniej, jak to już było wspomniane wyżej, ta sama władza ludowa odebrała nam wschodnie, nowowypbudowane skrzydło domu macierzystego oraz duży dom wolno stojący w ogrodzie, kwatrujący w tych pomieszczeniach najprzód niewiasty umyślowo chore, a potem (dopiero w 1956 r.!) zamieniając je na dom dla dzieci niepełnosprawnych.

W stadnickim klasztorze zostało tylko trzech Sercanów: Ks. Proboszcz Cz. Kunda, wikariusz — Ks. Dionizy Bucki oraz kościelny Br. Alojzy Zurek. Smutne to było i tragicznie bolesne, szczególnie wobec wspomnienia, że jeszcze kilka dni temu tak dużo tu było życia i radości. Pozostaliśmy sami. Nawet psa Rekxa zabrano do Krakowa w budzie, którą wcześniej zabezpieczono przybitą deską.

W domu zapanowała przykra cisza. Przy zapalonych lampach naftowych przygotowywali się do snu: w głównym domu na II piętrze Ks. Proboszcz, na I piętrze Ks. Bucki, na

parterze ktoś z ekipy likwidacyjnej, a Br. Zurek w domu gospodarczym. Na podwórku postawiono na straży z karabinem w rękę stadnickiego p.o. sekretarza partii, niejakiego Wojciecha Niewiarowskiego z Brzezin. Był to człowiek chodzący do kościoła i dobrze żyjący z Księżmi, ale też posłuszny partii. Kiedy na zebraniu powiedzieli mu, że Ojciec św. rzuci na rządzących w Polsce klątwę za to, co zrobili z klasztorem, miał się wyrazić: „my sie kląkwy nie boiwa”.

## Okres po likwidacji wspólnoty Sercanów

Przeżycia i wrażenia jakie stały się naszym udziałem w dniu likwidacji nie pozwoliły przejść od razu do zwyczajnego zajęcia się sprawami duszpasterskimi. Była jednak sobota i trzeba było przygotować się do czekającej nas pracy w niedzielę i do spotkania z wiernymi. Zastanawiając się jak powinniśmy sformułować ogłoszenia parafialne, doszliśmy do wniosku, że nie będziemy nic wspominać o likwidacji, by nie zadrażnić władz, gdyż spodziewaliśmy się szczególnej inwigilacji właśnie w niedzielę.

W pierwszą więc niedzielę sierpnia prymarię odprawiliśmy jako Mszę św. recytowaną i z krótkim kazaniem, na znak naszego smutku. Jakakolwiek wzmianka o klasztorze we Mszy św. czy w ogłoszeniach (np. choćby tylko stwierdzenie: prosimy ściśle stosować się do wyznaczonych godzin spowiedzi, bo jest nas tylko dwóch Księży) powodowała wybuchy szlochu i płaczu w kościele. Na wszystkich Mszach św. kościół był pełny ludzi. Niektórzy przyszli nawet z daleka, by na miejscu dowiedzieć się, co tu się wydarzyło w tygodniu. Po Prymarii przyszło do zakrystii kilku członków Komitetu Parafialnego z zapytaniem, czy mamy co do jedzenia. Wiele rodzin zresztą, bez zapowiadania czy organizowania tego przez nas, poczuwała się do obowiązku serca, by przynieść

Księżom jedzenie. Widzieli bowiem, jak dosłownie wszystko było wywożone i że nie zostało nam nic. Ta postawa wiernych była naprawdę wspaniałym zrywem serca, który dla nas był podtrzymaniem na duchu, a równocześnie świadectwem, że praca i poświęcenie Księży Sercanów nie poszły na marne, ale znalazły szlachetny oddźwięk w duszach.

Poniedziałek, 2 sierpnia 1954 r. Po wywiezieniu naszych współbraci czuliśmy się w domu niemal jak obcy. Obserwowaliśmy natomiast bardzo pilnie wszystko, co działo się wokół nas. Tego dnia przyjechało jeszcze do klasztoru kilka ciężarówek, na które załadowano resztę rzeczy należących do Zgromadzenia i wywieziono przez Myślenice. Pragnę tu odnotować przykry incydent, a mianowicie, że jeden ze stadnickich „partyjniaków” wszedłszy w porozmienie z likwidatorem wywiózł do siebie dwie furmanki starszych desek. Celowo nie podaję tu nazwiska, ale jest to fakt, gdyż obserwowaliśmy zajście z naszych okien... Drugi przykry fakt, to sprawa zboża zmagazynowanego na stryszku II piętra domu i częściowo rozsypanego do suszenia nad kościołem. Likwidatorzy sprowadzili ludzi, którzy to żyto pobierali do worków, a potem, zapełniwszy nim do pełna samochód ciężarowy, odjechali w stronę Gdowa, co również na własne oczy widzieliśmy. Mówiono, że w tym zbożu było bardzo dużo wołków zbożowych i że młynarz z Gdowa, p. Lelito, do którego zawieziono transport, miał go nie przyjąć. Nigdy nie dowiedzieliśmy się, gdzie ono się podziało. Próbowano nawet puścić pogłoskę, że całą zawartość samochodu wsypano do Raby. We wtorek i środę, kilkanaście kobiet przywiezionych z okolicznych urzędów, podjęło generalne sprzątnięcie całego domu. Był również i elektryk, który uzupełnił brakujące żarówki i naprawił uszkodzone przewody.

We środę przyjechał do klasztoru Ks. Mieczysław Suwała w towarzystwie dwu panów. Był to kapłan dawnej diecezji pińskiej, późniejszy paksowiec, współpracownik Bolesława

Piaseckiego oraz kapelan wojskowy w Warszawie. Zastał on mnie w zakrystii i oznajmił, że do Stadnik przyjadą Siostry zakonne z ziem zachodnich. Wyraził się o nich, że są to „bogaczki”. Z rozmowy z tym Księdzem wywnioskowałem, że był na ziemiach zachodnich, gdzie przyglądał się czy też brał czynny udział w likwidacji placówek zakonnych tych Sióstr. Ks. Suwała był także później nauczycielem w Liceum im. św. Augustyna w Warszawie i tam zmarł w październiku 1986 r. Siostry twierdziły, że w czasie likwidacji ich domów gdzieś po prostu poginęło wiele rzeczy z kaplic. Nie były w stanie powiedzieć, gdzie to wsiąkło. Ktoś z pewnością obłowił się nieco na ich nieszczęściu. W wyniku tej rozmowy dopiero zorientowaliśmy się, jaki był cel usunięcia nas ze Stadnik. Nasz klasztor przecież stanowił duży obiekt złączony z kościołem, był otoczony murem i dysponował ogrodem, a jako taki odpowiadał z pewnością wymogom władz na koncentrację Sióstr zakonnych. Pan u UB, kierujący przygotowaniem domu dla Sióstr zażądał, abyśmy wszyscy trzej przenieśli się na parter głównego domu. Ja zająłem więc pokój pierwszy przy wejściu do domu (dzisiejsza furta klasztorna), w następnym ulokował się Ks. D. Bucki, a trzeci z kolei przejął Br. A. Żurek, który umieścił u siebie także prowizoryczną żelazną kuchenkę. Od północnej strony korytarza na parterze była kuchnia domowa wraz ze spiżarką. Opiekę nad nią przejął właśnie Br. Żurek, który był równocześnie zaopatrzeniowcem, kucharzem i kościelnym. Osoby sprowadzane z zewnątrz do sprzątania pracowały jedynie w godzinach urzędowych, a potem wyjeżdżały z klasztoru. Tak więc pozostawaliśmy sami, jeśli nie wspomnieć o przydzielonym nam „do opieki” ubowcu (z którym raczej nie nawiązywaliśmy kontaktu) i o sekretarzu Niewiarowskim, który zresztą, jak mi się wydaje, stróżował ze swym karabinem tylko przez pierwsze dwie noce po wywiezieniu naszych Współbraci.

## PRZESIEDLENIE SIÓSTR SŁUŻEBNICZEK ŚLĄSKICH DO STADNIK

Tragedia naszego klasztoru w Stadnikach to tylko jedno z ogniw wielkiego łańcucha działań antyreligijnych i antykościelnych ze strony rządu w Polsce w okresie stalinowskim. Nie trudno odgadnąć skąd przychodziły wzorce i dyrektywy, boć przecież poza naszą wschodnią granicą już wiele dziesiątków lat wcześniej rozpoczęły się na szeroką skalę zakrojone akcje bardziej lub mniej jawnej walki z wszelkimi objawami religijności. Z pierwszym rzędzie zawsze uderzano w to, co dla tej religijności było niejako siłą napędową i podtrzymaniem, a mianowicie w każdy zewnętrzny objaw kultu (stąd masowe zamykania kościołów w państwach rządzonych przez komunistów i wstrzymywanie pozwoleń na otwieranie nowych) oraz walka z duchowieństwem, a zwłaszcza niszczenie życia zakonnego. I tak w Polsce celowi temu miały służyć m.in. likwidacja małych seminariów diecezjalnych i zakonnych, jaka miała miejsce w 1952 r., w czasie której to akcji władze zagarnęły sporą ilość pomieszczeń i wyposażenia tych szkół (wtedy właśnie padło ofiarą także i nasze małe seminarium w Krakowie); usuwanie gorliwych i wpływowych proboszczów z parafii, a nawet i biskupów w niektórych diecezjach (np. w diec. katowickiej czy kieleckiej); więzienie biskupów i kapłanów oraz wytaczanie im mocno nagłaśnianych, choć fałszywych procesów; usuwanie nauki religii ze szkół i zmuszanie księży do składania przysięgi lojalności wobec władzy ludowej, itd.

U nas w Polsce sprawy nie wyglądały jeszcze najgorzej, gdyż władza ludowa mimo wszystko obawiała się masowych

protestów ze strony scalonej mocno religijnie ludności, która w ponad dziewięćdziesięciu procentach była katolicką. W Czechosłowacji np. udało się komunistom zlikwidować wszystkie placówki zakonne, a dla sióstr zakonnych stworzyć coś w rodzaju obozów pracy przy większych klasztorach (obowiązywał zakaz przyjmowania nowych kandydatek), aby w ten sposób odseparować ich od wpływów na społeczeństwo. U nas ta sprawa nie poszła nigdy tak daleko, jakkolwiek odebrano siostrom prawie wszędzie prawo prowadzenia przedszkoli, a w ramach eksperymentu próbowano, na wzór czechosłowacki, usunąć siostry z niektórych klasztorów z odzyskanych ziem na zachodzie Polski. Usprawiedliwieniem niejako tej operacji miał być pretekst, że siostry tamtejsze prowadzą politykę germanizacyjną. I tak SS. Elżbietanki zostały przesiedlone siłą do województwa poznańskiego, podczas gdy Służebniczki NMP do krakowskiego, a ściśle mówiąc do trzech miejscowości: do Staniątek, gdzie ulokowano je w klasztorach Panien Benedyktynek i SS. Służebniczek Starowiejskich, do Ojców Reformatów w Wieliczce (których klasztor też uległ kasacji) oraz do naszego klasztoru w Stadnikach.

Akcja przesiedleńcza Sióstr Służebniczek NMP ze Śląska Opolskiego (warto zaznaczyć, że i tę śląską gałąź Sióstr Służebniczek założył Sługa Boży Edmund Bojanowski właśnie dla podtrzymania polskości na terenie zaboru niemieckiego), rozpoczęła się 3 sierpnia 1954 r. Przełożoną Generalną SS. Służebniczek Śląskich była podówczas M. Maria Demetria Cebula z siedzibą Domu Generalnego we Wrocławiu (ul. Czarnoleska 10), zaś Prowincjalną była M. Maria Genezja Reck, rezydująca w Leśnicy Op. (ul. Klasztorna 2).

Dla Zgromadzenia Sióstr najboleśniejszą była likwidacja ich macierzystego domu w Porębie pod Górą św. Anny, usytuowanego dosłownie na skraju drózek tego opolskiego Sanktuarium. Dom został założony 12 sierpnia 1866 r. i niemal dokładnie

po 88 latach, bo 3 VIII 1954 r., otrzymały Siostry dekret wysiedlenia, który miał być zrealizowany w ciągu dwóch dni. Wspólnota zakonna w tym czasie liczyła 37 Sióstr, w tym 14 nowicjuszek i kilka Sióstr już po siedemdziesiątce. Do 5 sierpnia zatem Siostry miały spakować wszystko, a więc zarówno rzeczy osobiste i domowe, jak i te należące do gospodarstwa oraz kapliczne. Siostry czuły tym większe przerażenie, że nikt ich nie poinformował dokąd będą wywiezione i dlaczego likwiduje się ich klasztor. Nie były w stanie stawiać jakiegokolwiek oporu. Władze postarały się o to, aby już wcześniej wywieść meble i inwentarz żywy na pociąg do Leśnicy.

Wyjazd Sióstr nastąpił we czwartek, 5 sierpnia o godz. 13<sup>30</sup>. Przyjechał po nie autokar PKS-u, w którym byli już oboje nieznani konwojenci: pani i pan. Dopóki było widno Siostry mogły bez trudu zorientować się, że jadą w kierunku Katowic. Atmosfera strachu i niepewności zapanowała wśród jadących Sióstr w momencie, gdy zrobiło się ciemno i kiedy zupełnie straciły kierunek jazdy. Jazda przez całe siedem godzin, bez zatrzymania się i możliwości wyjścia, a w dodatku pod „opieką” nieznanych ludzi, była dla Sióstr prawdziwą męczarnią. Chwile te osładzały sobie Siostry modlitwą i aktami zdania się na Opatrzność Bożą.

Do Stadnik tymczasem we czwartek tj. 5 sierpnia w godzinach popołudniowych zaczęto przywozić ciężarówymi samochodami (ok. 40-tu) meble i inwentarz Sióstr ze stacji kolejowej w Wieliczce. Gęsi narobiły niesamowitego wrzasku, a krowy i świnie nie chciały schodzić z aut. Do sprowadzenia na ziemię tych opornych i nieufnych, a przede wszystkim niestęchanie zmęczonych długą jazdą stworzeń przyczyniła się sterta szutru, która została jeszcze z okresu budowy. Do rozładowywania samochodów sprowadzono dodatkową ekipę ludzi z Dobczyc, Myślenic, a nawet Pcimia.

Tego samego dnia z uwagi na fakt, że był to pierwszy czwartek sierpnia, o godz. 19<sup>30</sup> odprawialiśmy w kościele

parafialnym Godzinę św. Pod sam koniec nabożeństwa podjechał pod bramę wjazdową klasztoru autobus z Siostrami. Ponieważ kierowca miał trudności z wykonaniem manewru skrętu do bramy, nic dziwnego, że spośród wychodzących z kościoła znalazło się sporo ciekawskich, którzy chcieli zobaczyć kto wjeżdża do klasztoru. Obecna już jednak milicja nie pozwalała na zbliżanie się do autokaru, który z trudem wjechał na podwórko i zatrzymał się koło werandy domu. Młode nowicjuszki zerwały się bez trudu, ale starszym siostrom nogi mocno zdrętwiały i trzeba im było pomagać przy wyjściu z autobusu. Milicja kierowała Siostry przez werandę do refektarza, gdzie przy ustawionym od strony południowej długim stole, nakrytym zielonym płótnem, znaleźli się urzędnicy gotowi do załatwiania formalności meldunkowych. Siostrom nakazano podchodzić pojedynczo z dowodami osobistymi. Po dokonaniu zameldowania, zwracano Siostrom dowody i zapraszano do spożycia skromnej kolacji, przygotowanej po drugiej stronie refektarza. Zaleknione Siostry wciąż nie wiedząc gdzie w ogóle się znajdują, dziękowały za posiłek i nie chciały go przyjmować.

## **Spotkanie z Księżmi**

Po skończonej Godzinie św. poszliśmy na kolację do pokoju brata Żurka. Nagle wpada do nas znany nam już z widzenia cywil paksowiec i powiada: „Proszę Księży, przyjechały Siostry, proszę przyjść je przywitać!”. Po chwili, choć niechętnie, poszliśmy do refektarza. Kiedy jednak zobaczyliśmy urzędników za zielonym stołem, a w kącie Siostry, zbite w małą gromadkę, wycofaliśmy się zaraz do pokoju i zasiedliśmy do kolacji. Za kilka minut wszedł do nas ponownie, mocno już zdenerwowany paksowiec, i powiedział tonem rozkazującym: „Proszę Księży, proszę przywitać Siostry! Dlaczego uciekli-

ście?”. Nie chciał słuchać żadnego naszego tłumaczenia. Po chwili namysłu poszliśmy razem z Ks. Buckim ponownie do refektarza. Większość Sióstr zastaliśmy siedzących już przy stole, na którym były kanapki. Usiadłszy na wolnym miejscu wciąż zastanawiałem się nad tym, co by tu tym zastraszoną i znękaną niepewnością Siostrą powiedzieć. Próbowałem przede wszystkim zorientować je w sytuacji. Powiedziałem mniej więcej te słowa: „To jest nasz klasztor. Jesteśmy ze Zgromadzenia Księża Najśw. Serca Jezusowego”. Nie jestem w stanie przypomnieć sobie całego toku rozmowy, a zwłaszcza co ze swej strony dodał Ks. Wikary. W każdym razie po jakimś czasie poszliśmy dokończyć naszą kolację. Później oprowadziliśmy Siostry po kościele i poinformowałem je, że jutro z racji I piątku miesiąca o godz. 5<sup>30</sup> będzie okazja do spowiedzi św., a następnie Msza św. z wystawieniem Najśw. Sakramentu. Nazajutrz Br. Żurek dał bardzo wcześnie znać, że już od godz. 5<sup>00</sup> ustawiły się kolejki Sióstr przy obydwu konfesjonach. Spowiadaliśmy więc we dwójkę, a o godz. 6<sup>00</sup> miała miejsce uroczysta Msza św., na którą przyszło dużo wiernych, pchanych być może także ciekawością i chęcią dowiedzenia się kto przyjechał do klasztoru. Po Mszy św. miał miejsce wspólny posiłek w jadalni, przygotowany przez personel świecki, który jeszcze przez kilka dni obsługiwał kuchnię.

Siostry tak opowiadały później swe wrażenia: „Przejeżdżając we czwartek przed kościołem, zobaczyłyśmy gwiazdę w okrągłym oknie witrażowym i pomyślałyśmy sobie: z pewnością zamkną nas w komunistycznym obozie. A kiedy Księża po raz pierwszy weszli do jadalni, pomyślałyśmy o nich bardzo źle sądząc, że są to jacyś księża patrioci, którzy przyszli nas rozgrzeszyć na śmierć. Było nam ich bardzo żal... Dopiero uroczysta Msza św. pierwszopiątkowa ku czci Najśw. Serca Jezusowego z sakramentalnym błogostawieństwem podniosła nas na duchu, a z naszych skofatanych

serc popłynęła przed tron Boży gorąca modlitwa dziękczynna oraz prośba o dalszą opiekę i potrzebne łaski dla rozproszonego naszego Zgromadzenia”.

W ciągu następnych dwu dni przyjechały do Stadnik jeszcze 43 Siostry z dziesięciu placówek. Ich ewakuacja przybrała formę wprost nieludzką. Siostry pracujące na małych placówkach parafialnych otrzymały 3 sierpnia nakaz natychmiastowego wyjazdu. Na spakowanie swoich rzeczy otrzymały — w zależności od sytuacji — od dwóch do trzech godzin. Ładowano je na ten sam ciężarowy samochód i razem z rzeczami wieziono przez trzy dni i trzy noce. Najpierw zawiezono Siostry do Skrzyszowa (Grussau) na Dolnym Śląsku. Po pewnym czasie z powrotem przez Śląsk Opolski, Katowice i Kraków do Stadnik, Wieliczki lub Staniątek. Widać z tego było, że władze nie miały zbyt jasnego planu co do nowego miejsca zamieszkania Sióstr. Zdarzało się, że jeśli Siostrze nie udało się wsiąść na ten sam samochód, na którym były jej rzeczy osobiste, wówczas nie mało było kłopotów związanych z szukaniem zaginionych rzeczy. We wszystkich trzech wspomnianych domach województwa krakowskiego znalazło się około 380 Sióstr Służebniczek Śląskich. I tak w Wieliczce zakwaterowanych było około 100 Sióstr, w obydwu domach w Staniątkach ok. 200, a w Stadnikach ok. 80. Brak pełnej ścisłości w liczbach spowodowany jest faktem, że ilość Sióstr w poszczególnych domach zmieniała się zgodnie z decyzjami Sióstr przełożonych, które z chwilą uzyskania przez Siostry większej swobody, dokonywały po prostu zwyczajnych przenosin z domu do domu.

Zdawałem sobie sprawę z niecodzienności sytuacji związanych z przyjazdem Sióstr do Stadnik i dlatego chciałem pewne momenty utrwalić na fotografii. Nie mając swego aparatu, pożyczyłem go od p. Czesława Kasprzyka ze Stadnik. Zrobiłem kilka zdjęć z ukrycia, jedno nawet z wieży kościelnej. Było to bodaj w sobotę, gdy podczas obiadu naprzeciw okna

mego pokoju zatrzymał się samochód z Siostrami. Wyjąłem więc aparat i wykorzystując lukę pomiędzy gałązkami „krakowiaków”, kwitnących w skrzynce ma oknie, wykonałem zdjęcie. Nie wiem czy sam milicjant usłyszał trzask spustu migawki czy też poinformował go o tym któryś z robotników, w każdym razie w niedługą chwilę potem przyszedł do pokoju, gdzie spożywaliliśmy obiad i zażądał wydania aparatu, na którym przed chwilą zostało wykonane zdjęcie. Nie było wyjścia, trzeba było oddać „narzędzie przestępstwa”. Kiedy po jakimś czasie upominałem się o zwrot aparatu milicjant powiedział mi, że został on już przekazany do Krakowa. Po dwóch mniej więcej miesiącach otrzymałem wezwanie, aby osobiście zgłosić się po odbiór aparatu w Krakowie, w gmachu UB na Pl. Inwalidów. Pojechałem. Po przetrzymaniu mnie tam kilka godzin i rozmowach, oddano mi aparat. Stwierdzono, że nie mogli go otworzyć ani wyjąć filmu, gdyż aparat był uszkodzony. Do dziś nie wiem czy udało się wówczas którekolwiek ze zrobionych zdjęć, a jeśli tak czy znalazły się one w posiadaniu funkcjonariuszy urzędu bezpieczeństwa.

O wszystkich ważniejszych sprawach, jakie stawały się udziałem Sióstr wiedziałem na bieżąco, ponieważ Siostra przełożona M. Egwina Kittel często przychodziła do mnie czy to z prośbą o radę, czy aby przestrzec przed groźącym niebezpieczeństwem, czy czasem po prostu, aby opowiedzieć co zaszło. Była to osoba niskiego wzrostu, krępa, ale bardzo doświadczona życiowo, inteligentna i sprytna. Pewnego dnia przyszła w towarzystwie drugiej siostry i niemal z płaczem powiedziały, że miały wizytę ubowców i że jedna pani z tej branży w zaufaniu przekazała, iż jest plan przeniesienia Księży pracujących w Stadnikach do jakiejś kaplicy w Starym Żywcu w odwet za to, że niewłaściwie zachowali się przy przywitaniu Sióstr w dniu 5 sierpnia. Siostry lękały się, żeby przypadkiem nie przydzielono im któregoś z księży patriotów, z którym, ogólnie mówiąc, nie umiałyby znaleźć

wspólnego języka. Przypuścili więc modlitewny szturm do nieba (nowenny, modlitwy do miłosierdzia Bożego itp.) z prośbą o pozostawienie im dotychczasowych kapłanów.

Któregoś dnia pod wieczór, była może godzina 17<sup>00</sup>, gdy Siostry odmawiały wspólnie brewiarz w kościele, przysłała do mnie jedna z nich oznajmiając, że jakiś Ksiądz puka do zamkniętych wahadłowych drzwi w kościele. Poszedłem tam i zobaczyłem Ks. Michała Wietechę, jak zwykle w sutannie, w czarnym płaszczu, z kapeluszem i teczką w ręce. Nie chciał dzwonić na furkę, aby nie zwracać na siebie uwagi kóregokolwiek z naszych „opiekunów”. Przybył, aby nas poinformować oraz udzielić odpowiednich instrukcji, gdyż dowiedział się, że nasz pobyt w Stadnikach jest zagrożony. Pytał jak to było z tym przywitaniem Sióstr i mocno kładł nam na serce, abyśmy byli bardzo ostrożni i postępowali roztropnie, aby móc się utrzymać w naszym domu. Gdyby nas bowiem wyrzucili, moglibyśmy tu już więcej nie wrócić. Odprowadzając go do kładki na rzece pod Skrzynką, poinformowałem obszernie o aktualnej sytuacji w domu. Nie dowiedziałem się, jakim sposobem przyjechał na Skrzynkę i jak miał wracać po ciemku. Rozmawiając z nim wyczuwałem Jego ogromną troskę o nasze dzieło w Stadnikach. Z pewnością sprawa ta spędzała mu sen z oczu i zaciążyła na jego i tak już słabym zdrowiu.

Siostry były dla nas nie tylko bardzo życzliwe, ale i ogromnie ofiarne. Życie nasze z nimi układało się bardzo dobrze we wzajemnych usługach. W niedzielę np. i święta brat był zajęty w kościele przez całe przedpołudnie, one więc ze swego przygotowywały dla nas trzech obiady. Starszą już siostrę Florę wyznaczono do zajęcia się bielizną kościelną, ubieraniem ołtarzy, do utrzymywania czystości w kościele. Robiła to naprawdę ze znużeniem i kościół prawdziwie lśnił czystością. Inna siostra objęła urząd organistki w kościele. Podczas tygodnia Siostry uczestniczyły we Mszy św. zajmując

ławki w kościele, w niedziele zaś i święta z chóru, skąd właśnie uświetniały uroczystości parafialne swoimi solówkami. Jedna z sióstr, wieloletnia pielęgniarzka szpitalna, wykonywała zastrzyki czy to na miejscu czy chodząc do chorych. Parafianie początkowo mocno się dziwili widząc siostry jeżdżące na rowerze, potem podziwiali ich spryt i zaradność. Za te wszystkie dowody życzliwości Sióstr staraliśmy się im odpłacić naszymi kapłańskimi posługami i wszelką inną pracą, której one same nie były w stanie podjąć. Ja byłem ich zwyczajnym, tygodniowym spowiednikiem. Przeprowadzałem im miesięczne dni skupienia, głosiłem konferencje oraz prowadziłem wykłady katechetyczne dla nowicjuszek. Dlatego na temat otrzymywanej opieki duchowej jedna z sióstr mogła napisać: „Co dotyczy życia duchowego, dzięki Bogu Siostry miały możliwość wykonywać swoje obowiązki zakonne. Rano uczestniczyły codziennie we Mszy św.. Także wszelkie inne ćwiczenia duchowe odprawiały w kościele. Kościół ten połączony jest z domem klasztornym. Na zakończenie dnia codziennie jest krótka adoracja Najśw. Sakramentu z błogosławieństwem sakramentalnym. Spowiednikiem zwyczajnym jest tutejszy Ksiądz Proboszcz Czesław Kunda. Jest także na miejscu drugi kapłan Ks. Dionizy Bucki. Zaś jako spowiednik nadzwyczajny przyjeżdża z Krakowa jeden z Księży Sercanów. Co miesiąc Ks. Proboszcz wygłasza Siostrom konferencję ascetyczną”.

## **Administracja państwowa i UB**

Z pewnością najboleśniejszą sprawą dla Sióstr była likwidacja ich placówek, a w konsekwencji oderwanie ich od umiłowanej posługi ludziom, od pracy zawodowej no i oczywiście od ich rodzimego środowiska duchowego. Nie mniej dotkliwym problemem było także poważne ograniczenie ich

wolności osobistej ze strony administracji państwowej oraz ciągle nękanie Sióstr przez Urząd Bezpieczeństwa, co Siostry tym boleśniej przeżywały, iż wciąż miały świadomość, że jedyną ich „winą” była przynależność do Zgromadzenia zakonnego, z całą gorliwością poświęcającego się dla dobra ludu, z którego wyszły.

Jak już wspominałem wyżej, jeszcze przed przyjazdem Sióstr do Stadnik w klasztorze pracowało kilka kobiet narzuconych przez likwidatorów. O zaopatrzenie w żywność tak personelu porządkującego opustoszały po wyrzuceniu Księży Sercanów dom, jak i pracowników zwierzbowanych do rozładowywania ciężarówek z rzeczami Sióstr, zadbała władza terenowa. Tak też było jeszcze w pierwszych dniach pobytu Sióstr w Stadnikach. One same bowiem były zajęte odszukiwaniem i porządkowaniem swoich rzeczy. Dopiero w sobotę wieczorem tj. 7 sierpnia, gdy personel świecki kończył swą przymusową pracę i opuszczał klasztor, wręczono siostrze przełożonej klucze od bramy i furty. Siostry przejęły również pozostałe zapasy żywności. Tak więc od niedzieli, 8 sierpnia, siostry zaczęły prowadzić samodzielnie kuchnię.

Na szczególne przypomnienie zasługują represje i szykany, jakich doznawały Siostry ze strony UB. W opisie tych faktów korzystam z przekazu młodej wówczas profeski, S. M. Korsynii Gall, która na piśmie przedstawiła swe przeżycia tamtych dni.

Bardzo często, bo początkowo co dwa lub trzy dni, miały Siostry odwiedziny przedstawicieli UB z Krakowa. Zazwyczaj w skład grupki odwiedzających wchodziło dwóch panów i pani. Za każdym razem przesłuchiwali oni pojedynczo po kilka sióstr, które wybiórczo wzywali do siebie, zadając im na wstępie kilka zdawkowych pytań. Całe przesłuchanie jednak zmierzało do jednego celu, a mianowicie, aby skłonić Siostry do współpracy z UB. Po kilkukrotnych tego typu przesłuchaniach próbowano nawet niekiedy zmusić Siostry

do podpisania orzeczenia o współpracy. Oczywiście Siostry na podobne propozycje reagowały oburzeniem i stanowczo odmawiały podpisu. Jedna ze sióstr stwierdziła nawet z całą odwagą: „Nie mamy o czym donosić. Siostry bowiem nie zajmują się polityką. Naszym hasłem jest: módl się i pracuj! A po drugie, nikogo nie wolno przymuszać, gdyż art. 70 i 71 Konstytucji PRL gwarantuje wszystkim obywatelom wolność sumienia, a nawet przewiduje karę za zmuszanie obywatela do czegoś, co jest niezgodne z jego przekonaniami”.

Władze koniecznie chciały się dowiedzieć co Siostry mówią między sobą na temat ich przesiedlenia. Jedna ze sióstr dała następującą odpowiedź: „Jeżeli państwo jest naprawdę takie biedne, to trzeba mu dom oddać. To jednak, co z nami zrobiliście — dodała siostra — to wyraźna dyskryminacja. Przesiedlenie i skomasowanie Sióstr jest bezprawne, gdyż Zgromadzenie zostało pozbawione właściwej sobie działalności, a siostronom została narzucona z góry praca niezgodna z ich życiowym ukierunkowaniem”. Stwierdzenie takie spowodowało, że następnego dnia wszystkie Siostry musiały się pojedynczo stawić na rozmowę, co mocno je kosztowało duchowo i psychicznie. Jedna z sióstr nawet (S. Richeria Pacharzyna) niedługo po przyjeździe do Stadnik poważnie zachorowała i musiała być odwieziona pogotowiem do szpitala w Krakowie, gdzie przebywała około trzech tygodni. Żadna z Sióstr nie mogła jej towarzyszyć w drodze do szpitala, ani też żadna nie mogła jej w szpitalu odwiedzić. Jedynie przyjeżdżający do Stadnik funkcjonariusze UB zdawkowo informowali o stanie zdrowia chorej.

Przedłużeniem niejako ramienia UB byli narzuceni administratorzy państwowi. Pierwszy z nich przyjechał w dniu 10 sierpnia, we wtorek. Był nim niejaki p. Gruszewski z Myślenic. Pobyt jego w Stadnikach jednak nie trwał długo, gdzieś około dwóch tygodni. Zamieszkiwał w domu gospodarczym, w pokoju od strony wschodniej na I piętrze.

W sobotę, 26.08.1954 r. przyjechało taksówką trzech panów z Prezydium Powiatowej Rady Nar. w Myślenicach i przedstawili nowego administratora, niejakiego ob. Ogielę. Zażądali od Sióstr kluczy od drzwi zewnętrznych domu i bram wjazdowych. Ogiela okazał się człowiekiem bardzo ordynarnym. Stale obserwował cały dom i Siostry, a równocześnie mocno im dokuczał. Kategorycznie zakazał Siostronom wychodzić poza dom, a gdy zachodziła konieczna tego potrzeba, jak np. udania się do sklepu, do lekarza czy dentysty, wówczas administrator towarzyszył siostrze. Miały więc niekiedy miejsce zarówno bolesne jak i śmieszne przypadki. Pewnego dnia np. jedna z sióstr prosiła o zezwolenie, by mogła udać się do dentysty, przyjmującego w najbliższym Ośrodku Zdrowia. Nie uzyskawszy zezwolenia, wsiadła na rower i pojechała do Dobczyc. Ob. Ogiela nie namyślając się wiele zabrał drugi rower Sióstr i udał się w pogoń za siostrą „uciekinierką”.

Innym razem w niedzielę Siostry schodząc z chóru rozpoznały przed kościołem grupkę ludzi przybyłych z jednej ze swoich placówek. Oczywiście starały się z tymi ludźmi porozmawiać. Administrator zebrał potem wszystkie Siostry w refektarzu i dał im za to po prostu ordynarną naganę. Do krewnych odwiedzających Siostry, odnosił się z reguły bardzo szorstko. Pewnego razu kłócił się długo z grupką gości Sióstr i nie wpuścił ich do domu. Ludzie ci usiedli na ławach przed domem i zaczęli się posilać. Dopiero gdy Siostry zagroziły mu zgłoszeniem sprawy funkcjonariuszom UB z Krakowa, pozwolił gościom wejść do domu. Innym razem w niedzielne popołudnie młode siostry zebrane na werandzie zaśpiewały, przy akompaniamencie pianina, jedną z religijnych pieśni po niemiecku. Znow miała miejsce zbiórka w jadalni, w czasie której siostry usłyszały na tyle wystarczająco, by się zdrowo popłakać.

A oto jeszcze inne wydarzenie, które świadczy jak dalece „ob. administrator” był pilny w inwigilacji klasztoru. Pewnego

dnia przyjechał do mnie mój rodzony brat z Olsztyna. Zadzwoił na furkę i, kiedy powiedział administratorowi, że idzie do Księdza Proboszcza, został wpuszczony. Administrator zauważył jednak, że nie poszliśmy do kancelarii, ale do mojego pokoju. Po dłuższej chwili naszej rozmowy przyszedł do mnie z zapytaniem, kto jest u mnie. Moja grzeczna odpowiedź: „To jest mój brat” nie przekonywała go zbyt mocno i próbował nadal indagować. Wtedy oburzyłem się i z kolei spytałem, co go to obchodzi? Wyszedł zaperzony. Nazajutrz, kiedy brat już odjechał, przyszedł do mnie z przeprosinami tłumacząc, że jego zwierzchnia władza obawia się, by z naszej strony nie było niewłaściwych przecieków, bo „wie Książ, potem Wolna Europa mówi różne niestworzone rzeczy, jak choćby i te fakty, kiedyśmy was przewozili do Krakowa...”. Zamilkłem, gdyż przypomniałem sobie ostrzeżenie Ks. Michała Wietechy i jego prośbę o ostrożność w wypowiedziach.

Administrator prowadził spis osób odwiedzających siostry, dlatego każdego gościa wypytywał kim jest i skąd przyjeżdża. Postarał się też o umieszczenie na domu (od strony podwórka) skrzynki pocztowej, przeznaczonej tylko dla Sióstr. Przepuszczaliśmy nawet, że i same listy były przez niego kontrolowane. Osobiście też przekazywał siostrom pocztę, którą czy to odbierał od listonosza, czy też sam przywoził z poczty w Dobczycach, odległych o 5 km od Stadnik. Być może, że tu tkwił także powód, dlaczego w niedługim czasie przeniesiono do Stadnik zarówno pocztę jak i Urząd Gminny. Urząd Gminny zajmował parę pokoi na I piętrze u państwa Michalików, gdzie wcześniej mieścił się nasz nowicjat. Do gminy należały wsie: Stadniki, Kędziejnka, Kwapinka, Stryżowa i Skrzyńka.

Administradora często odwiedzała żona. Przyjeżdżała wieczorem, zaś wczesnym rankiem wychodziła z ciężkimi torbami...

Dnia 11 X 1954 r. administrator Ogiela został odwołany, a jego następcą został Ob. Stanisław Zyguła, były sekretarz partii w Myślenicach. Przy tej zmianie dokonano również zamiany mieszkania dla administratora. Zażądano dla niego pokoju blisko portierni, w związku z czym Ks. Wikariusz D. Bucki i Brat Żurek musieli się przenieść gdzieś indziej: Ks. Bucki zamieszkał odtąd w głównym domu na I piętrze, zaś br. Żurek przeszedł wraz z kuchnią do domu gospodarczego, przejmując pokój zajmowany dotychczas przez administratora. Wkrótce potem przełożeni wezwali Br. Żurka do pracy w kuchni w Krakowie, a na jego miejsce przyszedł br. Paschalis Swider scj.

Administrator Zyguła, popularnie zwany „kierownikiem”, był człowiekiem łagodniejszym od poprzednika. Siostry miały więc nieco więcej swobody i samodzielności. Mogły, kiedy tego zaszczyt potrzebowały, same załatwiać sprawy poza domem, jakkolwiek na dalsze wyjazdy wciąż siostrom nie pozwalano. Kierownik nadal miał nadzór nad wszystkim i posiadał klucze od wszystkich bram i drzwi klasztornych. Dopiero 15 kwietnia 1955 r. administrator opuścił dom stadnicki, a siostry uzyskały pełniejszą swobodę ruchu, odetchnęły nieco wolnością. Podobna sytuacja zaistniała także i w innych domach sióstr na terenie województwa krakowskiego. Funkcjonariusze UB nadal jednak odwiedzały klasztory-obozy, ale znacznie rzadziej: prawie raz na miesiąc, a potem jeszcze rzadziej i nieregularnie.

## **Zróżdła utrzymania i praca Sióstr**

Od chwili przyjazdu do Stadnik do dnia 30 września 1954 r. siostry były na utrzymaniu państwowym. Przez cały z kolei październik państwo pokrywało 50% ich kosztów utrzymania. Natomiast od 1 listopada siostry musiały

utrzymywać z własnych zarobków zarówno siebie, jak i administratorów. Sprawa nie była wcale prosta zważywszy, że 1/3 sióstr to były osoby starsze i schorowane, niekiedy wymagające stałej opieki ze strony innych. Siostry więc skrzętnie zebrały to, co jeszcze było do zebrania w ogrodzie...

W pomieszczeniu na I piętrze głównego domu, gdzie wcześniej była nasza kaplica domowa, urządzono dla sióstr szwalnię. Maszyny do szycia, w liczbie 12, udało się Siostrom zebrać początkowo z ich dotychczasowych placówek. 5 września 1954 r. siostry otrzymały pierwszą dostawę pracy chałupniczej z Rzemieślniczej Spółdzielni Pracy Bielżniarzy i Zawodów Pokrewnych z Krakowa (ul. Bohaterów Stalingradu 26) w formie skrojonych już rękawic roboczych. W ten sposób powstał warsztat pracy dla sióstr, a równocześnie podstawowe źródło ich utrzymania. Uruchomiono też hafciarnię, w której wyrabiano paski z bajorkami dla urzędników.

Łatwo sobie wyobrazić, że początkowo wydajność pracy sióstr była bardzo ograniczona i to z wielu powodów. Przede wszystkim trzeba pamiętać, że 50% sióstr to były pielęgniarki tak z wykształcenia jak i z długoletniego stażu pracy w szpitalnictwie. Dla nich przejść na akordowe szycie nie było rzeczą łatwą. Ponadto czas pracy był bardzo ograniczony: należało przecież odprawiać ćwiczenia duchowne, a wieczorem przy lampie naftowej praca nie szła zbyt sprawnie. W Stadnikach, jak już wspominałem, nie było jeszcze wówczas sieci elektrycznej, a zatem nie było także mowy o użyciu elektrycznych maszyn do szycia. Wprawdzie w klasztorze Księży Sercanów był już wcześniej agregat do wytwarzania prądu, ale przy zmianie użytkowników dosyć szybko się zepsuł. Oddano go do naprawy do Krakowa, gdzie przeleżał przez kilka miesięcy. Doradzaliśmy siostram, aby postarały się go sprowadzić mimo, że

nie był naprawiony. Kiedy go przywieziono, poproszony o to śp. Julian Kursa z Kędzierzynki, kowal z zawodu, uruchomił motor w ciągu dwóch dni. Wcześniej jednak nie można było tego zrobić, gdyż agregat musiał być naprawiany „po linii urzędowej”.

Z początkiem 1955 r. Spółdzielnia Pracy z Krakowa przydzieliła siostrom dodatkowo kilka maszyn do szycia, a po zlikwidowaniu hafciarni od 1 marca siostry tam zatrudnione przeszły do szwalni. To właśnie ta praca akordowa stanowiła prawie jedyne źródło utrzymania sióstr w okresie ich przesiedlenia. Szwalnia była więc czynna od 5 września 1954 r. do dnia 5 grudnia 1956 r. tj. do momentu, gdy siostry opuściły Stadniki, by wrócić do swej pracy na Śląsku.

Ponieważ już w początkach września 1954 r. wierni z naszej parafii w Stadnikach wypytywali nas, co i jak będzie z tegoroczną zwyczajową „petytą”, ustaliliśmy, że przeznaczona ona będzie na potrzeby sióstr, które przecież pracują także przy naszej parafii, a znalazły się w wielkiej potrzebie, podczas gdy my księży nie mamy ani gdzie, ani po co gromadzić zboża. Tak więc owego roku zebrano wiele snopów zboża niemal we wszystkich wsiach, nawet w Stryszowej i przywieziono do klasztoru. Później ktoś przyjechał z młocarnią, a ludzie pomogli siostrom wymłócić zboże. Administrator był zaskoczony tą solidarnością ludzi, a później opowiadał, że miał w związku z tym zajęciem trochę nieprzyjemności ze strony swej władzy zwierzchniej.

Sprawy związane z kościołem parafialnym traktowały siostry z właściwą sobie wiarą i ofiarnością jakby swoje własne. Uszyły trochę bielizny kościelnej, wyhaftowały nowe obrusy i nakrycie na ambonę, zajęły się przygotowaniem i prowadzeniem dzieci, sypiących kwiaty podczas procesji. Okoliczni mieszkańcy bardzo polubili siostry za ich pobożność, dobroć i poświęcenie, a przede wszystkim umieli dostrzegać w nich kogoś, kto wyraźnie został skrzywdzony przez władze.

## Życie zakonne sióstr w Stadnikach

Z Poręby pod Górą św. Anny, jak to już było zaznaczone wcześniej, pierwszym autobusem przyjechał do Stadnik cały nowicjat sióstr wraz z mistrzynią nowicjatu Marą Wiltrudą Szifczyk. Dla nowicjatu wyznaczono zaraz po przyjeździe drugie piętro głównego domu w Stadnikach. Tu więc nowicjat żył swoim własnym rytmem. A oto co na temat życia duchowego sióstr w Stadnikach pisze S. Korsynia:

„Każdego roku głoszone były rekolekcje św. dla sióstr tego domu i wszystkie mogły w nich uczestniczyć. Akordowa praca chałupnicza nie przeszkadzała im w tym, gdyż mogły ją sobie układać według własnych planów z tym, że w święta zniesione przez państwo siostry czuwały, aby przypadkiem kontrola nie zastała ich świętującymi. W październiku 1954 r., a więc w dwa miesiące po przyjeździe, odbyły się rekolekcje św. połączone z I profesją zakonną sześciu nowicjuszek. Brało w nich udział także 30 sióstr profesek, które tego roku nie zdążyły jeszcze odprawić swoich rocznych rekolekcji. Cwiczenia te trwały od 14 do 23 października i zakończyły się w tym dniu profesją sześciu sióstr: S. M. Adriana Gielzok, S. M. Medarda Woźniak, S. M. Stefania Witaszek, S. M. Radygunda Przybyła, S. M. Hildegarda Klak i S. M. Baptysta Zimolong. Kuria Metropolitalna w Krakowie upoważniła Ks. Proboszcza Cz. Kundę do przeprowadzenia egzaminu kanonicznego tych sześciu nowicjuszek. On też prowadził rekolekcje i przewodniczył uroczystości profesji. Obecne były na tej uroczystości: przełożona generalna Sióstr Matka M. Demetria Cebula i prowincjalna Matka M. Genezja Reck.

Druga seria rekolekcji odbyła się od 2 do 11 maja 1955 r. przed profesją wieczystą i odnowieniem ślubów czasowych. W tych rekolekcjach brały również udział wszystkie siostry pracujące w szwalni. Rekolekcje prowadził i kazanie na uroczystości profesji wygłosił O. Tadeusz Grodniewski —

Redemptorysta z Gliwic. Śluby wieczyste złożyły dwie siostry: S. M. Salomea Suszek i S. M. Sanisława Sulska, a trzy dalsze siostry odnowiły swe śluby: S. M. Julia Cygan, S. M. Sarkandra Pańczyszak i S. M. Kapistrana Korablewska. Uroczystości tej przewodniczył Ks. Proboszcz Cz. Kunda scj. Na uroczystość przybyły: Matka Generalna M. Demetria Cebula z Wrocławia w towarzystwie S. M. Gregorii z Leśnicy Op., dwie siostry ze Staniątek i O. Michał Porada OFM, z Góry św. Anny, wizytator Zgromadzenia. Prawdziwy duchowy syn św. Franciszka: pobożny, wesoły i bardzo prosty w życiu wspólnotowym.

Następny kurs rekolekcji odbył się przez I profesję ośmiu sióstr w dniach od 13 do 22 lipca 1955 r. Śluby złożyły: S. M. Dominika Weiner, S. M. Albertyna Młynarz, S. M. Ignacja Lybud, S. M. Ancilla Ziaja, S. M. Benhilda Woszczyzna, S. M. Klarysa Siekiera, S. M. Mechtylda Majnusz, S. M. Gertruda... Siostry te składały śluby na ręce Matki Prowincjalnej M. Genezji Reck, której towarzyszyła siostra przełożona Silesia Sell ze Strzelc Opolskich.

W r. 1956 odbyła się jedna seria rekolekcji, które prowadził Ks. Wincenty Turek SCJ z Krakowa, a uczestniczyły w niej wszystkie siostry ze wspólnoty stadnickiej, z wyjątkiem trzech, które później brały udział w rekolekcjach w Staniątkach”.

Bez stałej inwigilacji władz za pośrednictwem administratora siostry czuły się swobodnie w stadnickim klasztorze. I tak przełożona generalna z Wrocławia przeprowadziła wizytację wszystkich sióstr w dniach od 15 do 30 września 1955 r., zaś przełożona prowincjalna z Leśnicy wizytowała wysiedlone siostry z początkiem roku 1956. Po tej ostatniej wizytacji nastąpiła też zmiana na stanowisku przełożonej w Stadnikach: S. M. Egwina Kittel, która tak dzielnie spisywała się w tej wspólnocie, została przełożoną w Staniątkach, gdzie miała ponad 200 sióstr. Do końca pobytu sióstr w Stadnikach przełożoną była natomiast S. M. Hieronima

Pielok. Nowicjat sióstr wygasł z chwilą złożenia profesji przez młodsze nowicjuszki. S. Mistrzynie Wiltruda przeszła do pracy w szwalni.

Duży procent sióstr stanowiły osoby starsze wiekiem. Jedna z nich już przy pierwszym spotkaniu się ze mną spytała: „Proszę Księdza, a gdzie tu jest cmentarz?“, jakby chcąc powiedzieć, że wkrótce spodziewa się przejść do Pana. Jakkolwiek ona akurat przeżyła wygnanie w Stadnikach, to dwie inne umarły w naszym klasztorze. Pierwszą, która umarła w Stadnikach była S. M. Pulcheria Nowak, która zakończyła życie w dniu 10 maja 1955 r. Po złożeniu ciała do trumny przeniesiono ją z I piętra do poczekalni na parterze domu. Stąd, 12 maja nastąpiło wyprowadzenie zwłok do kościoła, a następnie kondukt żałobny szedł na cmentarz aż do Gdowa. Pogrzeb prowadził O. Michał Porada, wizytator Zgromadzenia. Proponowałem, że wynajmę dla niego furmankę, gdyż był to człowiek nie tylko wysokiego wzrostu, ale i mocnej tuszy. Odmówił jednak i całą drogę szliśmy pieszo, modląc się.

Drugą zmarłą w Stadnikach była siostra M. Matylda Elias. Odeszła ona do Pana 20 marca 1956 r. Pogrzeb miał miejsce w piątek, 23 maja. Podobnie jak na pogrzebie S. Pulcherii i tym razem w uroczystościach żałobnych wzięło udział wiele sióstr i wiernych. Zmarłe spoczywają obok siebie na gdowskim cmentarzu. Po opuszczeniu Stadnik siostry z Leśnicy zazwyczaj przed Dniem Zadusznym przyjeżdżały corocznie na groby swych sióstr, a stałą opiekę nad tymi grobami powierzyły p. piekarskiej Ciężarkowej z Gdowa, osobie bardzo życzliwej dla klasztoru.

Pośród sióstr w Stadnikach kwitło życie wspólne, a ton nadawały mu młode siostry swoją werwą, humorem, żartami. Zawsze uroczystości obchodzono imieniny przełożonej, a każda siostra w dniu swoich imienin miała zagwarantowaną uroczystą Mszę św.. Zawsze było dużo śpiewów. Niekiedy siostry

przygotowywały obrazki sceniczne, czasem bardzo poważne, czasem w formie skeczy, na które z reguły zapraszały Księży.

Pierwszy odpust parafialny po likwidacji Księży Najśw. Serca Jezusowego w Stadnikach wypadł 19 czerwca 1955 r. Sumę odprawił Ks. Kanonik Tadeusz Siepak, dziekan z Łapanowa, a kazanie na Mszach św. głosił Ks. Franciszek Zawadziński SCJ. Administratora państwowego nie było już od dwu miesięcy, wobec czego mogliśmy zjeść obiad (przygotowany zresztą i obsłużony przez siostry) w poczekalni sióstr tj. w drugim pokoju na parterze. Było dosyć ciasno, gdyż przyjechało dużo księży, może i z ciekawości, by zobaczyć jak wygląda naprawdę życie w klasztorze, o którym tyle ostatnio mówiło się w okolicy. Jeden z księży wyraził się, że był to piękny odpust, gdyż np. na Prymarii prawie wszyscy obecni „ławą” ruszyli do Komunii św.

Jeszcze podczas pobytu sióstr w Stadnikach nadarzyła się okazja kupienia używanego dzwonu kościelnego w Krakowie-Zielonkach. Sprawa była o tyle paląca, iż ludzie wciąż pamiętali o składce na dzwon, którą zbierano niegdyś, jeszcze podczas budowy kościoła. Pieniądze oczywiście poszły wówczas w budowę, a dzwonu wciąż nie było. Ufundowanie wtedy nowego dzwonu było niemożliwością. Tak więc doszło do zakupu w Zielonkach, a jego konsekracji dokonał pod klasztorem w Stadnikach Ks. Bp Franciszek Jop z Krakowa po niesporach w niedzielę, 30 września 1956 r.. Dzwonowi zostało nadane imię „Michał”. Ludzi na tej uroczystości było dużo. Po kazaniu, zanim uformowała się procesja do kościoła, Ks. Biskup per breviorem wrócił do klasztoru, gdyż chciał porozmawiać z siostrami, zgromadzonymi w jadalni. Później odbyła się tam wspólna z Księżmi kolacja, umilana pięknym śpiewem sióstr.

## POLSKI PAŹDZIERNIK 1956 R. W STADNIKACH

Uroczystość Chrystusa Króla, 28 października 1956 r., zgromadziła okolicznych Księży w Dobczycach przy poświęceniu ogniotrwałego tabernakulum w nowym kościele. W rozmowach księży uporczywie wracał jeden temat: mówiło się o dziwnych sprawach, o zmianach i ujawniających się grach w górnych sferach partii. Były to jakby „jaskółki” polskiego października roku 1956.

Jakby odbiciem i wyrazem tych nowości były pewne zmiany, które pojawiły się w życiu naszej parafii. I tak w sobotę, 17 listopada, delegacja matek z Kędzierzynki pojechała do władz powiatowych w Myślenicach, gdzie uzyskały zezwolenie, aby ksiądz mógł uczyć religii w ich szkole. Również i inne wsie zareagowały: we czwartek, 24 XI delegacja ze Stadnik i Kwapinki otrzymała podobne zezwolenie. Czuło się, że idzie jakaś odnowa. Dzieci w szkole zaczęły spontanicznie modlić się przed lekcjami...

Również w listopadzie Zarząd Generalny Sióstr Służebniczek Śląskich otrzymał z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych pismo, zezwalające na powrót wysiedlonych sióstr do opuszczonych ich domów i placówek. W piśmie tym zaznaczono, że niektóre domy zostaną zwrócone siostronom niezwłocznie, a inne w momencie, gdy władzom uda się znaleźć pomieszczenia zastępcze dla aktualnych lokatorów. Wykonane przez Zarząd Zgromadzenia notarialne odpisy tego pisma zostały przesłane przez M. Generalną do zainteresowanych placówek sióstr. Do Stadnik przyszła ta wiadomość w piątek, 23 listopada 1956 r. Trudno opisać radość, jaka wybuchła w domu po otrzymaniu tego listu. Siostry natychmiast robiły plany powrotu i zaczęły się do niego przygotowywać. 1 grudnia nadeszło też do sióstr pismo z Prokuratury Generalnej w Warszawie, które jakby było potwierdzeniem już wcześniej otrzymanych wiadomości.

W międzyczasie Matka Generalna M. Demetria Cebula skierowała, za pośrednictwem Ks. Proboszcza ze Stadnik, list do naszego Księdza Prowincjała, w którym pisała:

„Zgodnie z rozporządzeniem, władze państwowe miały zapewnić przymusowym przesiedleńcom transport oraz pokryć jego koszty. Niektóre jednak Zgromadzenia, aby przyspieszyć powrót, wcale nie oglądały się na pomoc państwa, lecz organizowały transport we własnym zakresie. I tak, już 5 grudnia 1956 r. wyruszył ze Stadnik w drogę powrotną na Śląsk pierwszy transport sióstr. We czwartek zaś pod wieczór (6 grudnia, a więc w sam raz na „Mikołaja”) przyjechał pierwszy samochód ciężarowy z klerykami sercańskimi wprost z ich miejsca wygnania, tj. z Tyńca. Chodziło bowiem o jak najszybszą akcję, aby w miarę opuszczania domu przez siostry, natychmiast zajmować swoją własność. Po przyjeździe kleryków siostry od razu opuściły dla nich dom główny, przenosząc się do gospodarczego. W Uroczystość Niepokalanego Poczęcia NMP, w sobotę, mogłem już oficjalnie z ambony podziękować siostrom Służebniczkom (było to ich święto patronalne) za ich ofiarną pracę w naszym kościele i względem chorych w parafii. Niektórzy wierni mieli łzy w oczach, gdyż naprawdę żyli się z siostrami. Szczególnie było im żal, że odchodziła „siostra lekarka”. Przybyli z powrotem do Stadnik Księża Sercanie uformowali z miejsca wspólnotę zakonną, na czele której stanął wydelegowany do tego Ks. Karol Rudzok SCJ.

Od 10 grudnia liczba sióstr w klasztorze stadnickim malała z dnia na dzień, wprost topniała w oczach i to tym więcej, że we wtorek, 11 grudnia, przybył do Stadnik Ks. Michał Wietecha, ekonom prowincjalny w towarzystwie p. Serwina, mistrza murarskiego z Jadownik i ze stolarzami pod kierunkiem p. Władysława Wietechy, swego rodzonego brata, aby od razu rozpocząć rozbudowę naszego obiektu w Stadnikach. Na usilną prośbę Księża kilka sióstr (było ich bodaj sześć) pozostało jeszcze w Stadnikach do czerwca 1957 r. tj. do

dnia odpustu parafialnego z okazji święta Najświętszego Serca Jezusowego.

Dodajmy jeszcze, że władze państwowe, mimo odwilży spowodowanej październikiem 1956 r., wcale nie miały zamiaru oddać siostrom ich domu macierzystego w Porębie. W styczniu 1957 r. otrzymały siostry w tym względzie specjalne pismo z Generalnej Prokuratury. W połowie lutego tegoż roku przewieziono więc całe umeblowanie domu nowicjackiego sióstr z Poręby do Leśnicy Opolskiej, gdzie znajdował się ich dom prowincjalny.

Na koniec dopuścimy jeszcze raz do głosu S. Korsynię, która od pierwszej chwili tj. od 5 lipca 1954 r. przeżywała z siostrami wysiedlenie do Stadnik. „Można by tu jeszcze wiele pisać i każda z sióstr mogłaby opisać swoje przeżycia. Jedno jest pewne, że wspólne przeżycia jakoś bardziej nas mobilizowały, bardziej scalały. Wiele sióstr wzajemnie się nie znało. To, co nas spotkało było dopustem Bożym dla naszego lepszego poznania się i pokochania. Wiele momentów i przeżyć w moim opowiadaniu nie zostało ujętych, jak choćby przeżywanie świąt kościelnych i zakonnych. Na koniec pobytu w Stadnikach siostry chciały jeszcze pożegnać się i podziękować Ks. Biskupowi w Krakowie. Wówczas to Ks. Biskup Jop powiedział: „Nie żegnamy się, bo wkrótce będziemy się witać w Opolu”.

Myślę, że po tym wszystkim, co przeżyłyśmy można by zaśpiewać «Te Deum laudamus!». Po Bogu należy się podziękowanie także Zgromadzeniu Księży Sercanów, a szczególnie Księdzu Proboszczowi i Księdzu Wikaremu”.

## **Tytułem zakończenia**

Likwidacja wspólnoty Księży Sercanów w Stadnikach i przesiedlenie Sióstr Służebniczek do naszego klasztoru, nadały mu niezamierzonego przez ówczesnych decydentów roz-

głosu, a równocześnie zwróciły szczególną uwagę władz na gromadę Stadniki. Wspomniałem już wyżej, że być może skutkiem „ubocznym” opisanych wydarzeń było utworzenie w Stadnikach gminy oraz Urzędu Pocztowego, który w następnych latach okazał się niezmiernie przydatny także i dla przywróconej do życia wspólnoty sercańskiej, szczególnie gdy w klasztorze w Stadnikach utworzone zostało Wyższe Seminarium Misyjne naszego Zgromadzenia (w 1964 r.).

Zmiany jakie dokonały się w Polsce w następstwie października 1956 r. choć okazały się wcale nie takie trwałe, jak się początkowo wydawało, to jednak przyniosły chwilową poprawę sytuacji Kościoła. W Stadnikach niewątpliwie one właśnie przyczyniły się m.in. także do zrealizowania długoletnich zabiegów parafii o otwarcie na miejscu cmentarza grzebalnego. Dotychczas bowiem z każdym pogrzebem trzeba było przemierzać odległość około 10 km do cmentarza w Gdowie, a wielokrotnie ponawiane prośby do województwa i powiatu nie dawały żadnych wyników w tym względzie. W grudniu 1956 r. Komitet Parafialny w Stadnikach odbył dwa zebrania w tej sprawie (16 i 30 XII). Ponowiono prośbę do władz. Już 2 stycznia 1957 r., we czwartek po południu, przybyła do Stadnik komisja sanitarna z Myślenic w celu zbadania i ustalenia terenu pod cmentarz. Z trzech proponowanych lokalizacji: jedna zaraz za murem klasztornym, druga na przestrzeni pomiędzy domem państwa Sawskich, a Stachnikami i Krogulskimi wybrano właśnie trzecią czyli tę, gdzie obecnie znajduje się cmentarz. Po tych ustaleniach komisji, następne kroki zmierzające do otwarcia cmentarza szły już gładko jeden po drugim.

Drugim takim przejawem niesłuchanej i wprost nie do pomyślenia jeszcze kilka miesięcy temu odwilży był fakt, iż zezwolono mi nie tylko na poświęcenie nowowynbudowanego w Stadnikach domu ludowego (popularnie zwanego tu „świątlicą”), ale nawet na zawieszenie w pomieszczeniach tego

budynku siedmiu krzyży. Ceremonia ta stała się prawdziwą „nowiną” w okolicy, gdyż miała miejsce w przeddzień wyborów do Sejmu i to w obecności Komisji Wyborczej (dniem wyborów była wtedy niedziela, 20 stycznia 1957 r.)...

Nie ma najmniejszej wątpliwości, że wydarzenia, jakie dopuszcza Opatrzność Boża tak w życiu jednostek, jak i społeczeństw, inaczej postrzegane są w momencie ich realizowania się, niejako na bieżąco, kiedy niejednokrotnie mocno doskwiera ból, gdy nie widzi się celu, ku któremu zmierzają poszczególne fakty, a inaczej, gdy patrzy się na nie z perspektywy lat, gdy zna się już ich przebieg, występujących w nich aktorów i owoce, zarówno te dodatnie jak i ujemne. A już całkiem inaczej z pewnością spojrzymy na wszystko z perspektywy wieczności. Nasze religijne doświadczenie każe nam jednak starać się zawsze zaufać niezawodnej Bożej Opatrzności, mężnie spełniać swoje obowiązki i w każdej sytuacji pozostawać sobą.